№ 35. Warszawa, dnia 20 Sierpnia (1 Września) 1877 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:
W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

STUDYA Z LITERATURY POLSKIEJ

przez L. S. W.

Sebastyan Fabian Klonowicz.

Drogi i zawady przystępne dla nieszlachty w dawnej Polsce. Życiorys Klonowicza. Wpływy zewnętrzne na twórczość poetycką Klonowicza: swojskość i satyryczność jego poezyi. Ogólne zalety i wady utworów Klonowicza. Rozbiór poematu Flis. Rozbiór Worka Judaszowego. Roxolania. Victoria Deorum. (Zwycięztwo Bogów). Pomniejsze i podrzędne utwory polskie i łacińskie Klonowicza.

II.

(Dalszy ciąg).

Cała Roxolania zawiera 1807 wierszy. Nieodmiennym zwyczajem ówczesnym, poeta zaczyna od wezwania muz, ale już nawet i te bóstwa mitologiczne sprowadza na grunt krajowy, zapraszając je ażeby obrały sobie siedlisko na lwowskiej (zamkowej) górze. Obszernie potem opisuje klimat i grunt Rusi, zbijając upowszechnione między cudzoziemcami mniemanie, jakoby nasz kraj był wiecznym mrozem ścięty, śniegiem i lodem pokryty, a rolnictwu niesprzyjający. Opiewa dalej fale Bystrzycy i opisuje lasy czerwono-ruskie; tu wpada w mitologią i prawi o nimfach i satyrach. Wydobywszy się z tego bajecznego grona, Klonowicz mówi o śpiewie rozmaitych ptaszków i opisuje rozmaite gatunki drzew — bardzo krótko i jego opisowi daleko do plastycznych obrazów Pana Tadeusza; za to z dziwnem mistrzowstwem sławi moc i wytrwałość drzewa, używanego powszechnie na Rusi zamiast żelaza i opisuje, jakim sposobem wieśniacy wyszukują w lesie drzew, ścinają je, suszą, potem gną i nadają jaką zechcą formę. Obszernie mówi o urabianiu sochy i o jej działaniu Tu przytoczymy ustęp z przekładu Syrokomli.

Patrz, jako rolnik pocznie nieleniwo
ciosać swą sochę, co ma orać łany,
z łękiem garbatym, z rękojeścią krzywą,
z wielkiemi zęby, jak potwór drewniany.
Patrz, jako wierci rozszerza i węży
drewno pługowe, jak osadza pięknie
jarzmo i lemiesz, ciężki do uprzęży,
pod którym kiedyś żwir i glej zastęknie.
I woły stękną, gdy w ugór lub rżysko
oracz zatopi swój naróg sękaty,
do dna rozkopie ciemne kretowisko,
dziatwę skowronka rozedrze na szmaty.
Pług pędzi w nory podziemną gromadę,
szkodliwych czerwi, co pustoszą niwy,
za pługiem leci ptastwo ziarnojade,
bo przewiduje zasiew niewątpliwy i t. d.

Wracając do lasów, opisuje poeta pastwiska leśne i bydło, a przy tej sposobności malowniczo choć wstrętnie maluje rzeź bydła i ujarzmienie młodych wołów, a potem udatnie mówi o udoju mleka, o sposobie robienia sera i bryndzy, chociaż i tutaj wzmianka o mleku zapędza poetę do mitycznej Galatei (co znaczy Mleczna) i cyklopa Polyfema. Arcydziełem w swoim rodzaju jest malowniczy ustęp, w którym poeta opowiada, jak podług wiary ludowej, węże pozbawiają krowy mleka i jak potem pasterz czatuje na szkodnika i śmierć mu zadaje. Opowiada dalej poeta życie chłopiąt pasterskich, wspinanie się ich na drzewa, zbieranie jemioły, urządzanie sideł na ptaki i t. p. Następnie prawi o niedźwiedziach, o ich porodzie, śnie zimowym i obyczajach: wylicza przytem rozmaite inne gatunki zwierza dającego futra i mówi o handlu futrzanym, którego głównym targowiskiem był naówczas Lublin. Przy tej sposobności wspomina także o innych towarach, z krajów obcych przywożonych, a najobszerniej — o winie; to daje poecie powód mówić szeroko o winie krajowem, to jest o piwie i jego fabrykacyi, o uprawie chmielu i t. p. Przechodzi następnie do gorzałki, o której mówi ze wstrętem w energicznych wyrazach oburzenia, które Syrokomla tak tłomaczy:

Nie wiem zaiste, kto w pierwszej osnowie
ognisty napój wymyślił z gorzelnie —
kto jest ów zbrodniarz i jako się zowie —
by go przekleństwu oddać nieśmiertelnie.
Przebóg! Nie z Rusi ta zaraza roście,
nieznano w wioskach takowej niedoli.
Chyba bogaty w chorobie lub poście
zażył kropelkę, orzeźwieniu gwoli.
Ktoś nieprzyjazny — Szatan mu na imię —
styksowym jadem chciał zatruć nam zmysły,
wynalazł napój wywarzony w dymie
i z czarnej sadzy gorzelnej wytrysły.
Skażone usta brzydkiego pijanicy
zabójczy oddech wyziewają zdala,
ktoś bierze dochód, a wieśniacy dzicy
piją, choć cierpią, choć pierś się przepala.
Pijąc, przeklina truciznę paloną,
a traci na nią wszystko do szeląga,
a choć gorączka przejada mu łono,
na nowo rękę do czary wyciąga.

Maluje potem wstrętny obraz pijaka i kończy go następnemi słowy:

O! Żaden napój ani żadna praca
tyle ni ogni, nie waśni na świecie.
Tak słabną siły, dzielność się utraca
I marnie idą najpiękniejsze lecie.

Po gorzałce mówi poeta o miodach ruskich, zkąd przechodzi do pszczół i opowiada podanie ludowe o człowieku, który szukając miodu, zagrząsł w dziuple dębowej, tak że ruszyć się nie mógł. Modli się więc w trwodze, ślubuje na kościół dary bogate, obiecuje nawet wybudować cerkiew, jeśli go Pan Bóg wyzwoli. Tymczasem do tej samej dziupli włazi niedźwiedź; wieśniak chwyta za łapę przestra-

szonego zwierza, a wydobywszy się przy jego pomocy, zabija niedźwiedzia i o ślubach swoich zapomina.

Następnie przechodzi poeta do krótkiego opisu ważniejszych miast ruskich. Zaczyna od stolicy Rusi — Lwowa, którego pochwałę tak rozpoczyna:

Witaj nam grodzie poważny a stary!
Miła w twych murach wypocznienia chwilka,
od ciebie wieje namaszczenie wiary,
a bramy twoje zaparte od wilka.
Nigdy łupieżca haraczu nie bierze
ze krwie i runa owczarnie tej ziemi,
Bo tutaj mają tron arcypasterze:
ich czujne oko niełacno zadrzemie.

Ostatnie wiersze ściągają się zapewne do napadów tatarskich, od których Lwów w czasach późniejszych, po śmierci Klonowicza niecałkiem był wolny. Chwali potem pobożność mieszkańców do różnych wyznań należących, i sławi bogactwo miasta, dokąd ze wszystkich stron świata handlarze przywozili rozmaite towary. O Rusinach greckiej wiary i Ormianach, w epoce, gdy poeta pisał Roxolanią, ani jedni ani drudzy nie byli jeszcze unją z kościołem rzymskim połączeni — Klonowicz mówi przychylnie, ale ze wstrętem odzywa się o żydach, których dobrze mógł poznać, będąc sam przez lat wiele sędzią do spraw żydowskich. Oto początek ustępu o żydach:

Tu na przedmiejskich kałużach się wiodą
chałupy żydów, odartych nędzarzy;
każdy, jak kozieł, oszpecony brodą,
z wieczną bladością na uściech i twarzy.
Niesfornym krzykiem wre ich synagoga,
wrzeszczą w sto głosów modlitwę szabatu;
ich ślepa ciżba urąga się z Boga
i prosi o to, co już dano światu.
Spytasz: przecz wilka wpuszczać do owczarnie?
Co tutaj robi ów chytry ród węży?
Nieprawe zyski najłapczywiej garnie
i srogą lichwą ubogich ciemięży.
Wszak robak dębu nie wyniszcza razem,
lecz go na próchno przegryza pomału;
jak rdza się pastwi nad twardem żelazem,
mól szkodzi sukniom, a pijawka ciału.
Tak żyd włóczęga przez sztukę bezprawi
w ciało społeczne wpije się i wreszcie,
nasze bogactwa pożre i przetrawi,
pochłonie wszystkie kraju posiadłoście.
Obaczą króle, zkąd szkodliwa rana,
rzeczpospolita jęknie po niewczasie,
gdy krew z jej ciała będzie już wyssana
i wszelkie życie obumarłem zda się.

Może Klonowicz i przesadził nieco w swojej zawziętości przeciwko żydom, do której w części bodaj że przyczyniły się (jak to było w duchu owego czasu) pobudki religijne; że jednak on pierwszy wypowiedział przypuszczenie iż żydzi przyczynią się do upadku rzeczypospolitej — rzecz to uderzająca i dziś wiele daje do myślenia.

Następnie mówi poeta o Zamościu (który wtedy jeszcze budował Jan Zamojski) i o starym Kijowie, o jego pamiątkach i krwią przesiąkłej ziemi, co prowadzi go do opisu tatarów i napadów tatarskich. Wspomina także o pieczarach kijowskich, które, jego zdaniem, zostały wyżłobione siłą wody.

Prześliczny jest następujący po tem opis Kamieńca, którego początek Syrokomla tak tłomaczy:

A ty, Kamieńcu, słynny znakomicie,
kto godnie twoją wyśpiewa pochwałę?
Kto cię osadził na twardym granicie?
Człowiek nie zdołał wrzucić cię na skałę:
nie z ręki ludzkiej, nie z uczonej karty,
lecz na skinienie Wszechmocnego oka,
na jednej skale cały gród oparty,
a całe miasto — to jedna opoka.
Bóg, nie zaś człowiek, wykował cię z głazu;
Bóg, nie zaś człowiek, zdobędzie cię siłą.
Człek jest zrodzony, tyś stworzon od razu,
a stworzon pierwiej, nim człeka nie było.
Gdy przyjdzie skonać zastarzałej ziemi,
ty musisz skonać jej urodzin świadku;
lecz jakoś stanął przed miasty inszemi,
tak i zaginiesz chyba na ostatku.
Nie bój się, człeku, bo cię niebo trzyma;
lecz gdy powstaniesz na Ojca, co w niebie,
znajdzie się mściciel na miasto — olbrzyma —
ten, co cię stworzył i w prochu zagrzebie.

Prześliczny ten ustęp niemniej pięknym jest w oryginale, a przekład Syrokomli jest tym razem bardzo wierny.

O innych miastach Rusi: Busku, Sokalu, Horodle, Bełzie, Przemyślu, Chełmie i Krasnymstawie, poeta wspomina krótko i przechodzi do szeregu obrazów, stanowiących zakończenie poematu i najwspanialszą może jego ozdobę. Są to obrazy nawskroś ludowe— opowieść o rozmaitych kolejach życia wieśniaka ruskiego od kolebki aż do grobu. Mówi więc poeta o chrzcinach niemowlęcia, o wróżbach dla niego na przyszłość, o twardem wychowaniu dziecięcia ludu, o pieśniach matki nad kolebką, o używanych względem dzieci pogróżkach, o religijności i pobożności Rusinów, o ich licznych i ścisłych postach, o obyczaju zaprzysięgania w cerkwi przyjaźni (pobratymstwa), o wróżkach, wróżbitach i zabobonach. Rzecz o gusłach daje mu powód wstawić pieśń ludową, choć nieco starożytną mitologią zaprawną, o Fedorze, która za pomocą czarów sprowadza do siebie wiarołomnego kochanka Fedora. Mówi dalej o pogrzebie, przytacza żale i narzekania płaczek, podaje treść pośmiertnego pisma do Św. Piotra (kładzionego z nieboszczykiem do trumny) i w końcu wspomina o obrzędzie zastawiania zmarłym posiłku. Pominięte tu są tylko obrzędy weselne. Tu to najbardziej wypada nam żałować że te obrazy i pieśni, żywcem i wiernie z obyczajów i z ust ludu wyjęte, Klonowicz przebrał w sukienkę obcej mowy. Gdybyśmy chcieli tu przytaczać piękniejsze ustępy, podług przekładu Syrokomli, musielibyśmy chyba przytoczyć wszystko; wypisujemy więc tylko jedną próbkę.

Oto co mówi poeta o niemowlęciu wiejskiem i jego matce:

Wioskowe dziecko zaledwie w powiciu,
zaledwie Boży świat ujrzy z oddali,
słuszna mu płakać — bo na dalszem życiu
niemały ciężar na barki się zwali.
Słuchaj, jak matka nad małą kolebką
śpiewa jękliwie i w nocy i we dnie:
„nie płacz malutki, a hoduj się krzepko!
Te łzy — to twojej doli przepowiednie.
Poczynasz płakać i tak aż do końca
płaczliwą będzie piosenka twej dole.“
Rzekła i usty spiekłemi od słońca
kładzie całunek na drobne pacholę;
a dziecię słucha i klaskając w usta,
ssie pierś matczyną z zapałem słodyczy;
ale pierś matki znędzniała i pusta,
pokarmu nie masz, a niemowlę krzyczy.
Matka z niem cierpi we dwójnasób tyle,
idzie nad strumień lub staw niedaleki
i niby grozi: „poprzestań na chwilę!
Poprzestań płakać, bo wrzucę do rzeki!
Zjedzą cię ryby, co na wodzie płyną.
Ej, przestań mały! Ostrzegam zawczasu.
Ot, idą wilki. A cichoż dziecino,
bo cię wyrzucę wilkowi, co z lasu.
Cicho, mój kwiatku! Coś boli dziecinie,
albo wróżbitka złem okiem urzekła.
Nieszczęsne oko niech marnie wypłynie!
Bogdaj wróżbitkę wleczono do piekła!
Są u mnie wnuczki maleńkie i hoże,
główki kraskami i wstążkami świecą —
oddam ci wszystko — ucichnij nieboże!
Ha, ha, ucichło i zasypia nieco.“

Na tem zakończymy rozbiór poematu Roxolania.

(d. n).

Z biednego serca.

Tyś była śliczna i melancholiczna,
A jam — poetą był.
I u stóp bym twych żył.
Boś była — śliczna z oczami Aspazyi
Z szmaragdowemi. — Nie pragnę fantazyi,
Bodajem tylko — cierpiał i żył.

* * *

Com też nie widział na tym Bożym świecie.
Ileż to razy serce mi pękało,
Biednemu — serce poecie.
A teraz — dyszę nienawiścią wściekłą,
Gdybym był Mocnym, dałbym kawał chleba
Jednym — a drugim głupcom dałbym piekło,
A sobie cichą mogiłę,
Nad którą słowik by śpiewał stęskniony
Pieśń mej przeszłości i był rozżalony.
A potem proszę na swe oczy piasku,
Niechże się zbudzę: wśród ciszy i blasku...

Miron.

MARYA.

Powieść

przez El. Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

28 Lutego.

Mieliśmy tu, w spokojnym zwykle domu tym, parę dni burzliwych, które na mnie wywarły przykre wrażenie a dla Maryi rozpoczną może nową fazę życia.

Pierwszą z burz podniosła Klotylda. Trzeba ci naprzód wiedzieć, mój Jerzy, że gdyby ktokolwiek umyślnie po całym świecie, szukał dwóch kobiet najbardziej do siebie niepodobnych aby umieścić je pod jednym dachem, nie mógłby znaleść doskonalszej sprzeczności, jak ta którą przedstawiają sobą Marya i Klotylda. O ile pierwsza energiczna jest i żywa o tyle temperament drugiej przedstawia najpiękniejszy egzemplarz flegmy i apatyczności. A jednak dziwnem ci się może zrazu wyda to co powiem, że kobieta pełna energii i życia przedstawia tu sobą żywioł pokoju i przedziwnej czystości a flegmatyczna i apatyczna — żywioł burzy i namiętności. O ile Marya dumnie wzgardziła miłością w pospolitem jej rozumieniu i zuchwale zrzekła się jej na życie, o tyle dla Klotyldy miłość taka stanowi jedyny ale to jedyny przedmiot pragnień, tęsknot i nigdy nie gasnących zapałów. Stosunek jednak pomiędzy dwoma kobietami temi nie przedstawia żadnych niezgód ani niechęci ale p. Michał który nie posiada cierpliwości Maryi i jej wysokiego poglądu na ludzkie słabości, spogląda na siostrę jak na stare

dziecko które lada chwila popełnić może kłopotliwe jakieś szaleństwo i obchodzi się z nią czasem z pewną szorstkością oznaczającą brak istotnego szacunku.

Parę dni temu po obiedzie, gdy rodzina zgromadzona była w bawialnym salonie, Klotylda wzięła rękę Maryi i zapytała drżącym głosem czy spełniła ona jej prośbę. Marya wydawała się zasmuconą i trochę niespokojną, gdy jednak siostra nalegała wciąż na nią pocichu, zwróciła się do męża i rzekła:

— Klotylda prosi cię Michale, abyś dał jej odpowiedź na to o czem ci dziś za pośrednictwem mojem oznajmiła.

Pan Michał który dnia tego mniej wesołym był niż zazwyczaj i wprzódy już chmurnie trochę na siostrę spoglądał, zerwał się z krzesła i stanąwszy przed Klotyldą siedzącą ze spuszczonemi oczami, grzmiącym głosem, zawołał:

— Chcesz abym odpowiedział ci stanowczo na zapytanie które mi przez żonę moją przysłałaś? Dobrze więc; odpowiem, że byłaś, jesteś i całe życie będziesz nierozsądną.

Ostatni wyraz dosadniej nieco brzmiał w ustach p. Michała niż go tu powtórzyłam.

— Michale! zawołała Marya proszącym głosem.

Klotylda podniosła roziskrzone nagle oczy i krzyknęła także:

— A ja ci powiem Michale że byłeś i jesteś dla mnie nieczułym, złym bratem!

Gniew p. Michała wzmógł się.

— Dla czego? wołał, dla czego byłem i jestem złym bratem? czy dla tego że parę razy w życiu przeszkodziłem ci popełnić głupstwo!

— Zagradzałeś mi zawsze drogę do szczęścia!

— Do pięknego szczęścia! Wyprawiłem z domu mego paru głupców i łotrów którzy kochali się nie w tobie ale w twoim posagu i których poślubiwszy miałabyś piekło nie życie...

— Ja ich kochałam! ze łzami w głosie wyrzekła Klotylda.

— Kogóż i kiedyż ty nie kochałaś! ciągnął p. Michał wzburzonym krokiem chodząc po pokoju, kogóż ty nareszcie kochać nie możesz jeżeli nawet ten lis Ryszard zdołał podbić twoje serce!

Klotylda porwała się z krzesła. Zwykła flegma jej zniknęła. Łzy lały się potokiem z jej oczu a usta drżały.

— Proszę nie ubliżać w obec mnie narzeczonemu memu! zawołała.

— Jakto! krzyknął p. Michał, więc mu już nawet przyrzekłaś swoją rękę!

— Przyrzekłam.

Czy zapomniałaś o tem że jest on z piętnaście lat młodszym od ciebie?

— Kocham go!

— Czy nie wiesz o tem że to chłopak najgorszych skłonności, którego dziesięć już razy wyprawiłbym z mego bióra, gdyby nie wzgląd na nieszczęśliwych jego rodziców!

— Kocham go!

— Czy ślepa jesteś że nie widzisz iż zły ten i leniwy dzieciak oszukuje cię najniegodziwiej chcąc posiąść nie ciebie ale twój fundusz!

— Kocham go! powtarzała wciąż Klotylda jednym tonem i z rękami na piersiach splecionemi.

— Ależ on wyłudzi od ciebie wszystko co masz a potem rzuci cię i czmychnie tam gdzie pieprz turecki sieją!

— Kocham go!

Pan Michał zaśmiał się na całe gardło i jednocześnie łzy mu w oczach stanęły. Gniewał się bardzo ale i żal mu było siostry.

— A to kochaj go sobie i gub się ze szczętem jeżeli już tak chcesz tego koniecznie. Jesteś pełnoletnią i pozwolenia mego nie potrzebujesz ale zapowiadam ci z góry że w domu moim młokosa tego widywać nie będziesz, bo go we dwadzieścia cztery godziny już tu nie będzie! Rzekłszy to wyszedł w ogromnem wzburzeniu i z całej siły stuknął drzwiami od przedpokoju. Klotylda płacząc poszła do swego pokoju a Marya siedziała długo zamyślona.

— O czem tak myślisz, Marciu? zapytałam.

Spojrzała na mnie smutnemi oczami i odrzekła:

— I takiemi to są te sławione miłości! I to nazywa się: kochać!

Tak; postacie w jakich miłość przedstawia się jej oczom w jakich zresztą najczęściej zjawia się ona na świecie, budzą w niej dumny wstręt do tego rodzaju uczucia. Dla tego nie przypuszcza go ona w sobie i dla siebie i stąpa po wulkanie ze spokojem dziecka.

Nazajutrz po burzliwej scenie owej, siedziałyśmy bardzo spokojnie w pokoju Maryi. Ja czytałam z Natalką książkę jakąś; ona dawała Franusiowi lekcyą rachunków, która ku wielkiej jej uciesze szła wcale dobrze, gdy usłyszałyśmy na dole domu rozgniewany i grzmiący głos p. Michała. Trzeba ci wiedzieć, że Iwicki popędliwym jest z natury, brak zaś ogłady towarzyskiej nie pozwala mu nad objawami uniesień swych dostatecznie panować. Dawniej przecież wybuchał daleko rzadziej. Teraz spostrzegam w nim pewne rozdrażnienie którego powodów może i domyślam się trochę a które charakter jego czyni więcej jeszcze niejednostajnym. Maryą uniesienia męża niepokoją zawsze, częścią przez wzgląd na jego zdrowie, częścią zaś jak mi się zdaje, przez obawę aby wśród nich nie popełnił jakiej niesprawiedliwości, którejby potem sam najmocniej żałował. Przerwała też lekcyą z dzieckiem, wzięła mię pod rękę i zeszłyśmy razem na dół. Tu, w jednej z sal biórowych zobaczyłyśmy gwałtowną i zarazem smutną scenę. Dwudziestoletni Ryszard, oblubieniec Klotyldy, stał przyciśnięty plecami do ściany, wylękły i blady. Iwicki grzmiał i piorunował grożąc mu oddaniem go w ręce sprawiedliwości. Ze wzburzonych słów rozgniewanego zwierzchnika dowiedziałyśmy się, że młody człowiek z przebiegłym i niedobrym wyrazem na ładnej w istocie twarzy, bądź to pod wpływem nieprzezwyciężonej jakiejś namiętności, bądź też ufając w pobłażliwość pryncypała z racyi stosunku który łączył go z jego siostrą, dopuścił się grubego oszustwa które wykonał z nadzwyczajną zręcznością i przebiegłością. Marya zbliżyła się do męża i prosiła go aby wspólnie z nią udał się na wyższe piętro domu. Wpływ jej nad gwałtownym człowiekiem tym jest potężny. Zaledwie dłoń jej dotknęła jego ramienia uspakaja się on i przemienia w łagodnego baranka.

Poszliśmy więc na górę. Iwicki radził się żony co ma czynić z nieuczciwym młokosem, sam bowiem chciał go skarżyć przed sądem. Marya stanowczo oparła się temu. Nie należało, mówiła, gubić bezpowrotnie tak młodego człowieka. Nagłe zresztą usunięcie Ryszarda z bióra i domu albo też uczynienie go zbyt nieszczęśliwym, mogłoby, według zdania Maryi, rozdrażnić bardziej uczucie dla niego Klotyldy i przyprowadzić ją do szalonego jakiegoś kroku. Iwicki zżymał się i unosił jeszcze trochę ale potem przyznał słuszność żonie i poszedł aby spokojniej już ale stanowczo rozmówić się z winowajcą. Spodziewam się, rzekł wychodząc, że teraz już przynajmniej Klotylda wybije sobie z głowy tego młokosa. Mylił się. Przed końcem dnia, Klotylda wiedziała o wszystkiem co zaszło z jej ukochanym ale kiedy Marya wspomniała jej o potrzebie stanowczego zerwania z nim; wyprostowała się jak struna, zaśmiała się szydersko i odpowiedziała:

— O nie! ja nie zmieniam uczuć moich dla lada potwarzy rzuconej przez ludzi.

— Nie wierzysz więc Michałowi! wszak wiesz że nic nie jest sprzeczniejszem z charakterem jego jak kłamstwo; z łagodnym wyrzutem rzekła Marya.

— A choćby i tak było jak mówicie, odparła czuła ta istota, cóż mię to obchodzi? Ja kocham go!

Gdy znalazłyśmy się same Marya zawołała:

— Jak mogą ludzie bluźnić w ten sposób imieniowi miłości! Kiedy patrzę na Klotyldę i na jej Ryszarda, zdaje mi się że widzę pierwotnych ludzi, którzy w ciemnych głębiach jaskini swej padają sobie w objęcia bo tak im każe uczynić dziki ich popęd!

Wyraz głębokiego wstrętu odmalował się na jej twarzy.

Domowe sceny te a także chmurna niezgoda która zapanowała między siostrą i bratem, martwią i nużą Maryą.

Na domiar biedy zmuszoną ona była wczoraj przyjąć u siebie, z powodu familijnej jakiejś rocznicy, kilkanaście osób z rodziny swego męża. W mieszczańskich, zamożnych rodzinach, rocznice takie obchodzą się zawsze z uroczystością a Marya nie chciała obrażać przybranych swych krewnych lekceważeniem świętego dla nich zwyczaju. Był to więc obiad proszony, czyli, trzy godziny piekielnej nudy. Wszystko tam było wystrojone, gadatliwe, krzykliwe albo nadęte. Parafianizm, pretensyonalność i zły smak przedstawiły mi się w pełnym blasku.

Mówiono tam o mydle i kucharkach z empfazą godną ód Horacyusza, wyrzekano na złą pogodę i ciężkie czasy i popisywano się zarówno z jedwabiami jak z przerażającą francuzczyzną. Marya wyglądała w tem towarzystwie jak Madonna Sykstyńska, którąby otoczono dokoła tuzinem obrazków sprzedawanych zazwyczaj w budach jarmarcznych.

Cóż więc dziwnego że gdy umilkł gwar ten, goście powychodzili a p. Michał wyskarżywszy się z gniewem i żalem na siostrę wyszedł za interesami, twarz Maryi zesztywniała nieco w dniu tym od przymusu i znużenia, ożywiła się i błysnęła radością na widok wchodzącego p. Adama. Od trzech dni nie był on w jej domu. Przy powitaniu zaraz powiedział że przez czas ten był niezmiernie zajęty, mając wiele do czynienia i w mieście i na wsi i z pacyentami i z rządowemi władzami.

— A cóż się dzieje u Państwa? zapytał.

Marya powiedziała mu o chorobie młodego Ryszarda który ze zgryzoty może, czy ze wstydu albo też jeszcze w skutek zbyt wesołych zabaw, którym oddawać się podobno lubi, zasłabł dnia tego dość ciężko.

— W porę więc przybyłem, rzekł p. Adam i wziąwszy kapelusz natychmiast udał się do oficyny w której znajduje się mieszkanie chorego. Niebawem jednak wrócił, mówiąc iż stan młodego człowieka jest dość groźnym i że ponieważ w mieszkaniu jego urządzić należy pewne konieczne zmiany, może która z pań zechce zejść na dół i powziąść na miejscu stosowne informacye.

Marya spojrzała na Klotyldę która przez cały dzień ubiegły płacząc biadała nad chorobą ukochanego.

— Może zechcesz Klosiu pójść tam z p. Stroszem? zapytała z cicha.

Czuła istota zarumieniła się aż po swe lniane warkocze, spuściła oczy i z zawstydzeniem wyjąkała.

— Czy sądzisz, Marciu, że byłoby to przyzwoitem.

Marya uczyniła ramionami mimowolny i rzadko w niej zdarzający się ruch niecierpliwości, owinęła się długim, ciepłym płaszczem który podała jej Natalka i poszła z lekarzem do chorego. Patrzałam

na nich przez okno gdy przechodzili długi dziedziniec i przypomniałam sobie dawną chwilę pierwszego ich na świecie spotkania. Zapytałam też siebie: czy gdy teraz znowu znajdą się razem nad łożem chorego, przed ich pamięcią także nie stanie w ogniu i w kwiatach całe wspomnienie pierwszego obowiązku dokonanego wspólnie pierwszych i uczutych w życiu silnych uderzeń serca.

Gdy wrócili, w salonie pełnym kwiatów zmrok zaczynał zapadać i duży ogień palił się na kominku. Marya drżała trochę od silnego chłodu który dnia tego panował, nie zdejmując więc płaszcza swego usiadła na kanapie. Nie jest ona wcale zakochaną w strojach, jednak lubi piękne i czasem fantastyczne trochę ubrania. Nad wszystkie barwy przekłada pąsową. Nosi też różne ubrania tego koloru a dnia tego płaszcz który miała na sobie był także pąsowy. Gruba draperya ta którą się owinęła i ogień palący się naprzeciw, rzucały na twarz jej przelotne błyski i rumieńce. P. Adam stanął przy kominku, ja siedziałam zdala od nich, w zaciemnionym kątku pokoju.

Marya musiała mówić w drodze towarzyszowi swemu o wypadku zaszłym z młodym Ryszardem, bo usiadłszy na kanapie i jakby ciągnąc dalej rozpoczętą rozmowę, zawołała:

— Czyż żadnego dobrego i rozsądnego pomysłu nie można urzeczywistnić w zupełności? Mnie tak żywo obchodzą, tak na sumieniu leżą losy i charaktery młodych tych ludzi pod dachem moim pracujących! Usiłowałam zawsze dopomagać im o ile tylko mogłam materyalnie i moralnie. Aż oto jeden z nich został nieuleczonym leniwcem a w dodatku jeszcze i oszustem! Jest to wprawdzie wyjątek pomiędzy nimi ale czy w istnieniu tego wyjątku nie ma jakiej mojej winy? Czy nie powinnam była czynić dla niego coś więcej niż czyniłam, zwrócić uwagę Michała na to aby baczniejsze miał nań oko? Żałuję teraz bardzo że nie zaznajomiłam się z rodzicami jego, udzieliliby mi oni może wiadomości jakich o nim, którebym na jego korzyść obrócić mogła! Nie pomyślałam o tem nigdy i mam to sobie teraz do wyrzucenia!

Gdy Marya to mówiła, p. Adam stojąc przy kominku, nie spuszczał wzroku swego z jej twarzy.

— Dziwnie delikatne posiadasz pani sumienie, rzekł po chwili milczenia, wyrzuca ono pani nieraz to, co innym dałoby powód do skarżenia się na złość i na nie wdzięczność ludzką. Cóż więcej możesz pani czynić dla ludzi tych jak to co czynisz? Materyalnie i moralnie włączyłaś ich pani do domu swego...

— Bo też należą oni do mego domu, z żywością przerwała Marya.

— Nie wszystkie naczelniczki domów byłyby tego zdania, ozwałam się z ciemnego mego kątka.

— Być może, ale obowiązki nasze zakreśla nam przecież nie cudze lecz własne zdanie. Ja zaś przez wyraz: dom; nie rozumiem czterech ścian tylko które osłaniają ludzi od słoty i chłodu, ani śpiżarni tylko, kuchni i jadalni. W mojem wyobrażeniu *dom* jest pracownią w której wyrabiać się powinny nietylko przedmioty codziennego użytku ale także charaktery i rozumy ludzkie. Gdy wymawiam wyraz: *domy*, wyobrażam sobie zawsze mnóstwo ognisk, z których każde według sił swoich, rozsyła na znajdującą się dokoła przestrzeń, promieniowanie ciepła i światła.

— W naszem szczególniej położeniu, dodała po chwili przestanku, tu gdzie niedostaje wszelkich narzędzi i organów publicznego działania, *domy* są wszystkiem: strażnicami obyczajów, spójniami serc, warsztatami wyrabiającemi lepszą przyszłość. Cóż dziwnego jeżeli do idei tak pojętego domu, można przywiązać się z całej siły i jeżeli przeszkody w urzeczywistnieniu jej napotykane sprawiać mogą trwogę i niepokój sumienia!

Głos jej, jak zwykle gdy mówi z zapałem, brzmienie miał przyciszone nieco i drżące.

Pan Adam nie spuszczał z niej wciąż oczu.

— Tak zawsze bywa ze wszystkiemi na świecie ideami, wymówił zwolna, praca nad ich sprawdzeniem zabiera nam myśli i spokój a czy daje szczęście?

Teraz powieki jego opadły na źrenice, które od blasku ognia może, zaświeciły złotym połyskiem. Na podniesionem nieco czole jego zarysowały się dwie podłużne zmarszczki a po ustach przemknął zamyślony i niedowierzający uśmiech.

— Szczęście... powtórzyła Marya jak echo i jakby przelękniona dźwiękiem który wydały własne jej usta, umilkła nagle.

— Tak; rzekł Adam, czy idąc dumnie i wytrwale wytkniętą raz drogą, kochając wiedzę i pracę dla ludzi a wszystko co nie jest niemi wzgardliwie mijając, nie stajemy czasem nagle uderzeni pytaniem: nie popełniliżeśmy ważnej jakiej omyłki? Nie jest że życie ludzkie syntezą której wszystkie składowe części wspierają się wzajemnie i z której bezkarnie żadnego żywiołu wyrzucić nie wolno? Spojrzenia ich spotkały się ze sobą. Oczy pięknego człowieka tego tak spokojne zawsze i prawie chłodne, wyglądały teraz jak dwie ciemne gwiazdy palące się i palące. Widać było że ogarnęło go nagle jedno z tych uczuć, których gwałt najbardziej niezmożonym bywa, gdy dotknie surowej i niezmęczonej namiętnościami piersi. Zbliżył się szybko do Maryi, usiadł przy niej i cichszym trochę niż dotąd głosem wymówił:

— Pani która kochasz idee i urzeczywistniasz je wciąż tak ochoczo i pracowicie, możesz najlepiej zagadnienie to rozwiązać. Czy jesteś pani istotnie, zupełnie szczęśliwą?

Kilka miesięcy temu, Marya w ten sposób zapytana, dałaby odpowiedź twierdzącą szybko, głośno, z uśmiechem i z silną wiarą. Teraz widziałam że lekkie drżenie poruszyło fałdami jej płaszcza od ramion jej aż do stóp. Chwilę milczała, potem jednak wyprostowała kibić, podniosła głowę i odpowiedziała:

— Tak, jestem szczęśliwą!

Ja tylko jedna która ją znam tak jak siebie samą, dostrzedz mogłam na dnie wejrzenia jej zawieszonego w przestrzeni, mękę nagle zrodzonej wątpliwości. Adam jej nie dostrzegł. Zbladł bardzo. Na czole jego dwie zmarszczki zaledwie widzialne przed chwilą, pogłębiły się i rzuciły mu na twarz całą wyraz posępny. Dość długo siedział zamyślony i nieruchomy, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Wstał potem i bardzo powoli wyciągnął rękę po stojący na stole swój kapelusz.

— A! rzekł podnosząc oczu, bywają na świecie uprzywilejowane wyjątki. Ideały mają także swych ulubieńców. Co do mnie, jestem zdania że życie prowadzi z nami często grę podobną tej w jaką czasem bawią się dzieci, ukazując współtowarzyszom trzymane w ręku przysmaki i wnet potem chowając je sobie za plecy. Stosuje się to do wszelkich pognęt życiowych, do urzeczywistniania idei zarówno jak do zdobywania osobistego szczęścia!

Mówiąc to, twarz miał wciąż bladą i rysy zeszytywniałe, kamiennej prawie nieruchomości. Głos z trudnością wydobywał mu się z piersi. Sięgnął na pożegnanie po rękę Maryi i gdy mu ją podała, zaledwie ją dotknął. Mnie skłonił się z daleka.

Po chwili byłyśmy sam na sam z Maryą. Zbliżyłam się do niej i spostrzegłam że drży cała pod grubemi fałdami swego płaszcza. Co ci jest? zapytałam.

— Nic! odpowiedziała bardzo cicho, nic... zimno mi trochę.

Potem, nagle, wyprostowała się, obie dłonie przeciągnęła po bladem czole i patrząc na mnie, zapytała szeptem prawie:

— Klemensiu! co to było? co to się stało? dla czego wyszedł on tak nagle? dla czego był on taki... smutny!

Moment tylko co ubiegły był dla niej momentem objawienia. Inaczej być nie mogło. W naturę tę przedziwnie czystą a nieświadomie namiętną, świadomość miłości wpaść musiała jak grom nagły i na chwilę druzgocący przytomność.

Objęłam ją obu ramionami i szepnęłam.

— Co to się stało? Maryo. Stało się... że ty go kochasz!

Wyrwała się z mego objęcia i stanęła sztywnie wyprostowana. Oczy jej patrzały w przestrzeń ze szklistym wyrazem przerażenia.

— Nie! wymówiła po chwili stłumionym szeptem, nie! nie! nie!

I pochwyciwszy moją rękę ścisnęła ją z taką siłą, jakiej nigdy spodziewaćby się nie można po jej giętkiej, delikatnej dłoni. Był to przecież spazm walki, wyprężającej wszystkie nerwy fizycznej i moralnej jej istoty.

Przemocą prawie przyciągnęłam ku sobie głowę jej i złożyłam ją na mojem ramieniu. Gorzko żałowałam niebacznie wyrzeczonego słowa ale, wiesz Jerzy, że zawsze trochę zawraca mi się głowa gdy patrzę na miłość dwojga dobrych i pięknych ludzi. Tu zaś idzie o Maryą i o człowieka którego ty mój Jerzy, tak kochasz!

(d. c. n.)

MASZKARY.

Obrazek dramatyczny w dwóch odsłonach, z życia ludu wiejskiego ułożony.

Do Czytelników.

Kiedy wystąpiłem pierwszy raz z obrazowaniem ludu wiejskiego, wartości mojej pracy jako zbyt różniącej się od próbek podobnych już dawniej drukowanych, byłem bardzo niepewny. Owe bowiem Bartki, Macieje, Kachny i Maryśki występujące w nich czy w powieściach czy też powszechniej na scenie teatralnej, były to postacie, że tak się wyrażę, wykoncypowane, szorstkie w obejściu, brutalne w słowie, ordynarne w tonie mowy, w których strona zewnętrzna łatwo każdemu wpadająca w oczy, wykrzywiona, przesadzona, zkarykaturowana, nadawała postaciom owym pozór prawdy, ale nie samą prawdę, o którą głównie w podobnych utworach idzie. Z podobnemi wyrobami literackiemi jeszcze i dziś spotkać się można — smutne one niezmiernie robią wrażenie. Znać siebie samego, to rozum najwyższy według zdania starożytnych mędrców, znać zaś dobrze społeczność do której się należy, to i rozum i obowiązek.

Mimo jednak takiego jakby rozmyślnego oszpecania tak hojnej gromady naszego społeczeństwa, wystąpiwszy z obrazowaniem jej choć w innej zupełnie barwie, ale w najzupełniejszej zgodzie z rzeczywistością, nie widziałem potrzeby uprzedzać Czytelników oddzielną przedmową. Prawda, jaką Obrazki moje wiejskie zawierały, odczutą przez nich została, bo prawda w ich sercach gościła; świat nowy nie-

znany dotąd powitali z radością, wyciągnęli ku niemu braterską rękę a autora obdarzyli uznaniem więcej przedmiotowi jak jemu przynależnem.

Dziś niezmiernie czasy się zmieniły: niższe warstwy społeczne kto nie przedstawi z brutalnej strony, rażącej złością, głupotą, rozpasaniem w czynie i słowie, kto uważa je za zbiór ludzi z poczuciami i namiętnościami nam podobnemi, kto wreszcie ową brutalną stronę pomija a dodatnią stara się ujawnić, ten uznawany jest za marzyciela, ideologa, za wyznawcę szkoły czy metody wszystko w różowej widzącego barwie.

Przedstawiając przeto obrazek dramatyczny z życia ludu wiejskiego ułożony, nowość, o ile mi się zdaje, jeszcze w tej formie nie znajdująca się w naszej literaturze, czuję konieczność usprawiedliwienia pojęć i uczuć postaci wyprowadzonych na scenę, bo to tylko jedno choć troszeczkę może zasłoni od zarzutu przesady i nieprawdopodobieństwa.

Arystokracya, to główny pierwiastek składowy naszego społeczeństwa. Spotkać się z nią można wszędzie, zarówno w dziedzicach wielkich imion i herbów starożytnych, jak w ubogich wyrobnikach nieraz nawet łachmanem okrywających swą nędzę. Przedstawia się ona rozmaicie, odpowiednio do stopnia zajmowanych w świecie stanowisk; i tym więcej staje się śmieszną i rażącą im niżej ze szczebla na szczebel schodzi ku dołowi. Lud wiejski nie jest wolny od jej wpływu; sam wyrób gminnego urządzenia całej Słowiańszczyzny w równości utrzymującego wszystkich, broniącego od dziedzicznej przewagi jednego i wybór jego poddającego woli wszystkich, już znamionuje szlachetne pojęcie własnej godności, głównego pierwiastku prawdziwej arystokracyi.

Lud wiejski, stanowiący liczebnie tak przeważną część naszej społeczności i zachowującego bez najmniejszej zapewne skazy charakter plemienia do którego należy, niepodobna aby poczucia tej godności własnej nie miał w sobie rozwiniętego.

Wprawdzie usuwanie go systematyczne przez długie wieki od praw mu przynależnych, powstanie ztąd stanu uprzywilejowanego i wyłączne przez niego ujęcie wodzy nad sprawami publicznemi, mogło to uczucie cokolwiek przytłumić i spaczyć, nigdy jednak zniszczyć go w zupełności tak nie potrafiło, aby w pilnem badaniu nie dało się odszukać.

Jeżeli zajrzymy do historyi, znajdziemy w niej czyny na korzyść naszego twierdzenia bardzo przemawiające. Wszakże stan uprzywilejowany wyrósł z ludu i bardzo długo niczem innem się nie odróżniał od niego, tylko przybieraniem pewnej buty i samowoli w wojennych zajęciach nabytych.

Jeźli później starając się coraz więcej praw nabywać, odłączył się od niego herbem, mieniem i zaprzągł go do służby swojej, nie idzie jednak za tem, aby duchem swym, pojęciami i uczuciami, miał się tak dalece wynarodowić, iżby pochodzenie jego z ludu mogło uledz zaprzeczeniu. Był więc niczem innem tylko ludem z którego powstał, i gdy i w ludzie znamiona plemienne pozostały w nieskalanej czystości, stan uprzywilejowany wyrobił je na większe rozmiary, zastosował do danych okoliczności, niektóre okrzesał, uszlachetnił albo wykrzywił i uczucie godności własnej wspólne niegdyś wszystkim, zamknął w sobie nie przypuszczając jego bytu w większości.

Nie zginęło ono jednak ani zamarło, przycichło wprawdzie, ale żyło w masie ludu, a ciągłe usiłowania do usunięcia tłoczącej go przewagi gwałtem narzuconej, ostateczna walka z uprzywilejowanymi przeciw którym wystąpił nawet król Bolesław i zabójstwem Ś-go Stanisława zgubił siebie i lud, którego chciał bronić, najlepiej świadczą, że to uczucie własnej godności domagało się w nim sprawiedliwości i tylko jedynie uległo przemocy. Wzięła ona wreszcie nad nim górę, nie bez walki jednak, a późniejsze dzieła aż do Jagielonów świadczą wymownie, że żywioł ludowy nie został wyzuty ze swego znaczenia, że stanowił siłę, z którą rachować się należało. Władysław Łokietek oparł się na niej i zjednoczeniem prowincyi położył fundamenta do przyszłej wielkości państwa; Kazimierz Wielki lud miał w szczególnej opiece, nietylko jako ojciec swego narodu, ale i jako mądry polityk. Historya z czasów rządu jego przekazała pamięć gwałtu jakiego dworacy przez podchlebstwo dla Rokiczany dopuścili się na Szymonie Zbroi, włościaninie wsi Łobzowa. Miał on chatę dotykającą ogrodu królewskiego, która naturalnie do ozdoby jego nie przyczyniała się, gdy na zamianę lub sprzedaż choć pod bardzo korzystnemi warunkami nie chciał przystać, dworacy korzystając z wyjazdu króla, chatę zburzyli. Czyn ten samowolny, doszedł do wiedzy króla, sowite wynagrodzenie poszkodowanego nastąpiło, Szymon Zbroja stał się jednym z najzamożniejszych włościan Łobzowa i niejako założycielem rodziny dotąd cieszącej się bogatem mieniem i ogólnem poważaniem. Cóż ją podniosło do tego znaczenia? Nic innego tylko głębokie poczucie własnej godności uznające jej posiadacza godnym sąsiedztwa choćby ukoronowanego. To poczucie Zbrojom wiernie po dziś dzień towarzyszy: syn uczy się, kończy nieraz szkoły w Krakowie i wraca do pługa i włościańskiej kapoty.

Drugi wypadek zachowany przez historyą, gdy powozem wiozącym królowę Jadwigę, przejechano przez zasiew świeżo uprawiony równie ważnym jest w swojem znaczeniu. Właściciel pola zastąpił jadącym, grożąc kół porąbaniem. Nie ma wątpliwości, że nie szło mu tu o szkodę, tylko o naruszenie własności, o targnięcie się na to co miał po rodzinie najdroższego. Kto podobną krzywdę tak czuć umie, ten z pewnością poczucie własnej godności choć może bezwiednie, ale ma w sobie należycie rozwinięte.

Uparci niedowiarkowie, wypadki te oba, zapewne podciągną pod wykręty spekulacyjne, umiejące z każdego zdarzenia korzyść materyalną wycisnąć. Nie zazdroszczę im podobnych przekonań, ale nie dziwię się im wcale. Dziś w czasach przewagi dukata nad wszystkiem co z duchem pobratane, przedstawiciele najczystszego materyalizmu, nie mogą czynom ludzkim innych dawać pobudek, tylko czysto materyalnych. Rozprawa z nimi niepodobna, serce nie da się rozłożyć jak księga dla każdego przystępna, nie mogąc więc zbyt obszernie rozpisywać się, powiem im tylko, że w życiu swojem, sam byłem świadkiem kilku wypadków, w których za przejazd przez posiew, łąkę, wyrwanie rzepy w polu i inne podobne małe naruszenia cudzej własności, włościanie nie chcieli przyjąć ofiarowanego wynagrodzenia pieniężnego, i ograniczali się na energicznem skarceniu samego czynu.

— To nasze jest, powiadali, i nikt nie ma prawa bez pozwoleństwa w naszej własności tak sobie poczynać jak w swojem. Pieniądze schować sobie, my tam takiego zarobku nienauczeni, obejdziemy się bez niego, a na drugi raz mieć rozum i wiedzieć co się godzi a co nie godzi.

W długich moich stosunkach z ludem wiejskim, wybitniejszych takich postaci, dumnych swoim stanem i w całem postępowaniu zachowujących odpowiednią godność, spotkałem kilka w różnych stronach kraju. Rozmawiając z niemi, zdało mi się że żyję w czasach dalekiej bardzo przeszłości, że jestem w towarzystwie osadnika dawnej gminy słowiańskiej, radzącego o losach swej społeczności i oczekującego na wiec powołujący gromadę do wspólnej narady. Nie byli to arystokraci według dzisiejszych pojęć, ale ludzie zamknięci w sobie z oznakami powierzchownej uniżoności, czujący jednak obywatelską swoją godność, zrośnięci niejako z rolą którą uprawiali, kochający ją jak własne dziecko i dumni pracą ojców swych i dziadów na tym samym połanku który ich żywił i dziedzictwem przechodził z ojca na syna. Jako z nieznajomym sobie a przypuszczalnie mieszkańcem miasta, ujęci i ośmieleni grzecznem postępowaniem, obchodzili się protekcyonalnie, z przekonaniem widocznem, że pomimo strojniejszej we mnie szaty, o wiele w socyalnem stanowisku stoją wyżej nad człowiekiem nie mającym pod nogami własnego kawałka ziemi i żyjącym jak wiatr z miejsca na miejsce przelatujący. Chcąc postacie takie wydobyć na jaw, trzeba koniecznie przy nich stać się samemu malutkim, a wyrosną w całej szczerocie swoich moralnych przekonań. Zbliżonych do siebie ze zwykłą nam butą, włościanin nie wie jak sądzić, a nauczony tradycyjnie z pokolenia na pokolenie spadającem doćwiadczeniem, lękając się narazić człowiekowi wiele może mogącemu, przybiera postawę zwykłej pokory, a nawet uniżoności, a co myśli i czuje szczelnie zamyka w sobie.

— Kto go tam wie, co to za jeden!, myślą sobie, przyglądając się z pod oka nieznajomemu. Hardy jakiś to i mocny pewnikiem, może się bardzo naprzykrzeć a nawet i zgubić z kretesem. Trzeba mu wielmożnować i do nóg czapkować, bo choć człek w tem przesadzi, to nie pogniewa. Chyli się więc do nóg, czapkuje, skrobie w głowę i nieraz nawet jasnym panem mianuje, bo woli sto razy uniżonością przesadzić, jak raz się omylić w jej szafunku.

Dla tego też poznanie ludu tak jest trudne że mało kto umie przy nim zająć drugie miejsce, i dla tego lud tak mało jest znany ogólnie i sądzony jedynie z powierzchowności, że niewielu umie z nim mówić i uszanować jak na to zasługuje.

Bez tego zaś można całe życie przeżyć z ludem, a nie znać go, można wybornie umieć opisywać jego gburowatość, jego nałogi, występki, wady i poniżenie, ale nie z tego co jest w nim ludzkiem, co przypomina o braterstwie i jednem z nim pochodzeniu.

Każda wioska niemal w podobne postacie jest uposażona, w każdej znajdzie tak zwanego bogacza i familianta, z którym pokrewnienie się a nawet stosunek przyjacielski za zaszczyt przez resztę mieszkańców jest uważany. Między zatem włościanami jest arystokracya: my chwalimy się herbami, zasługami przodków, ich godnościami; włościanin rolą którą uprawia i odwiecznem przy niej od pradziada zamieszkaniem; my spoglądamy z lekceważeniem na chłopską siermięgę, oni na nasze ręce delikatne z pracą ciężką niepobratane, my wreszcie uważamy się za coś lepszego w swojej naturze, a oni skrycie z tego uśmiechają się zwąc mieszczan par....., a właścicieli większych posiadłości ciarachami.

Takiego to włościanina arystokratę, a raczej czującego swoją godność, w dramacie moim przedstawiłem w stosunku do właściciela większej posiadłości ziemskiej. I jeden i drugi jest arystokratą, a jednak kochają się i szanują, bo oba są zacnymi ludźmi. Podobne zbliżenia się jednostek tak krańcowe zajmujących stanowiska, nie jest tak rzadkiem, aby na wiarę nie zasługiwało. Ludzie zamożni z różnych powodów, przyjmują dzieci biednych rodziców na wychowanie, więc i córka Grzędy do dramatu wprowadzona nie jest postacią zmyśloną. Miłość dla niej syna opiekunów, czyż potrzebuje dowodzenia? Uczucie to bezwiednie powstające, z klasyfikacyą społeczną nie ma żadnego związku.

Grzędę przedstawiłem jako wdowca nie mogącego odżałować straty swej połowicy, nieożenionego powtórnie i całą potęgą swego serca kochającego jedyne dziecko jakie mu pozostało. Takie wdowieństwo

dobrowolne, dla naszych krytyków znających lud tylko z okna swego mieszkania i opisujących go jak Selenitów domniemanych mieszkańców słońca, wyda się zapewne nienaturalnem; niech więc raczą się zgłosić do mnie, a zapoznam ich bliżej z podobnie nieukojonymi w swym żalu mężami włościanami nawet czytać nie umiejącemi.

W drugiej odsłonie wprowadziłem uroczystość, w podobnej formie jak przedstawiłem, nie odbywającej się nigdzie, ale duch ją ożywiający, serdeczność jaka w niej łączy skromne chaty z dworami nawet największej wspaniałości, są najzupełniej rzeczywistemi, na tem więc tle wolno autorowi własną myśl za prawdziwą przedstawiać.

Przytem dodać muszę, że jakkolwiek we wszelkich utworach sztuki podnoszenie do ideału ludzkich uczuć i sposobu wyrażania się wprowadzanych postaci, jest koniecznością, z prawa jednak tego nie korzystałem i lud wprowadzony przeze mnie na scenę, mówi najpowszedniejszym swoim językiem, tylko troszkę okrzesanym ze zbyt rażacych błędów i wysłowień i z myślami nie biega po krainach trącących sielankowością. Jeden tylko Grzęda jako pełen wychwalonego rozumu chłopskiego, a wyśmiewanego i uznawanego za zmyślenie, w każdym obrazku przedstawiającym jednostkę ludu darem tym ubogaconą, otóż jeden tylko Grzęda, co wyraża się bez żadnej jednak przesady, odpowiednio do swego wybornego rozsądku, jak zwykle wszyscy podobni jemu.

Jeżeli mimo tych wszystkich wywodów, ktoś twierdzić będzie koniecznie, że lud taki może był kiedyś, ale dziś nie znajduje się, temu odpowiem, że myli się i niech szuka go a znajdzie, ale nie pomiędzy ludnością napływową, przerzucającą się jak liść zeschły z miejsca na miejsce, ale między osadami odwiecznemi, zamieszkałemi przez tak zwanych dawniej zagrodników, połowników, kmieci, którzy wszystkich obcych przybyszów zowią przybłędami, obieżyświatami i stawiają ich na najniższym szczeblu klasyfikacyi społecznej. Tam to włościanin żyje w całym charakterze cech wspólnych nam wszystkim, tylko w rozwinięciu o jakie dwa wieki opóźnionym. Znamion tych wypisanych ręką Opatrzności w duszach i sercach ludzkich, zniszczyć nic nie potrafi, choćby żarł je płomień a trawiła trucizna. Ślad ich działań szkodliwych pozostanie widoczny, na zewnątrz obudzi wstręt, ale tam wewnątrz, w głębiach tajemnych, zostanie zawsze człowiek jakim był niegdyś jego dziad lub pradziad.

Cały ten wywód dziwnym się może niejednemu wyda, a jeżeli przejdzie do dalekiej przeszłości, jeszcze dziwniej przedstawi się naszym prawnukom. Cóż jednak było robić, kiedy teraz nadszedł taki czas, że przesadzie w fałszu przyklaskują, nieprawdę chwalą zwąc realnością, prawdę wyśmiewają nazywając kłamstwem, a ludzi co w studyach nad ludem życie strawili, zwą ideologami, marzycielami, majakami, nie godnymi nawet trepków rozwiązać tym, co choć może końcem palca nie dotknęli się ręki kmiecej, jednego spojrzenia nie rzucili do wnętrza jego chaty, a jednak nietylko piórem ale węglem tak umieją lud obrazować, że każdy czytając, trzyma się za boki od śmiechu i mówi sobie: jakież to bydło! Z tych samych powodów pracy mojej nie oddałem do żadnego teatru: bez komentarza nie można jej było drukować, cóż dopiero wprowadzać na scenę i pokazywać publiczności ludzi rzeczywistych, gdyż dotąd widzieli tylko sielankowych mirtylów, albo Bartków zamiast chustki, poły od surduta lub ręki używających. Publiczność możeby tu i owdzie przyklasnęła, ale na drugi dzień po przedstawieniu, panowie sprawozdawcy dopiero mieliby uciechę ze starym Jankiem z Bielca; młocka rozpoczęłaby się na wszystkich klepiskach peryodycznej literatury, a to rzecz wcale nie zachęcająca.

Przekonany nawet jestem, że pomimo tego wstępu, dramacik mój z pewnem powątpiewaniem przyjęty zostanie; nie zrażam się jednak tem przypuszczeniem. Głoszenie prawdy w jakimkolwiek zdobytej kierunku, to święta powinność, bo im jej więcej znamy, tym więcej szczęścia na ziemi. Wprawdzie głosicieli jej zwykle jednych wyśmiewają, drugich kamienują, przyszłość jednak korzysta z tego, baczyć więc na nią należy.

A teraz to com napisał odczytajcie i osądźcie. Serca Wasze zacne Czytelniczki Tygodnika zbyt są złączone z memi pojęciami, abym się lękał zdania jakie o pracy mej dacie. Nie dla Was też ten wstęp przygotowałem, ale dla owych mniemanych realistów, chętnie jak bociany brodzących w bagnie społecznem i wydobywających z niego same węże, gady i różne wstrętne plugastwa. (*)

J. K. Gregorowicz.

ZIEMIE NIEBA.

Astronomiczny, fizyczny, klimatologiczny opis planet wraz z ziemią krążących około słońca, oraz przypuszczalny stan życia na ich powierzchni.

Kamila Flammarion.

Streszczone przez

Joannę Belejowską.

III.

Merkury.

Planeta ten leży najbliżej Słońca; opisuje około niego drogę odległą średnio na 57,250,000 kilometrów, czyli 14,300,000 mil. Mówimy *średnio* gdyż droga jaką przebiega nie jest kolistą ale bardzo przedłużoną elipsą, tak iż podczas swej peryhelii (to jest największego zbliżenia do słońca) planeta zbliża się aż na odległość tylko 11,375,000 mil, a podczas afelium (największego oddalenia) oddala o 17,250,000 mil od słońca, zatem różnica wynosi 6,000,000 mil. Ponieważ między perihelią a afelium upływa tylko sześć tygodni, zatem Merkury, ten bożek handlu i złodziei, szybko przechodzi raptowne zmiany ciepła i światła. Średnica Merkurego wynosi $^2/_5$ średnicy Ziemi, objętość jedną 16-tą. Bieg odbywa od zachodu na wschód, a obrót około Słońca uskutecznia w 24 godzin i 51 minut. Czas obiegu czyli *rok* tego planety wynosi 87 dni, 23 godzin, 16 minut, 46 sekund, zatem nie całe nasze trzy miesiące.

Droga jaką opisuje Merkury środkuje między Słońcem a Ziemią, raz więc znajduje on się między nami a Słońcem, to odnośnie do nas z drugiej strony Słońca, już znów pod kątem prostym i t. d. i ztąd wynikają *zmiany* odpowiadające zmianom Księżyca. Nie możemy go widzieć gdy się znajduje między Słońcem a Ziemią, ponieważ wówczas zwraca ku nam swe ciemne półkole. Jak Księżyc i inne planety, Merkury świeci tylko w przestrzeni blaskiem jaki odbiera od Słońca. Widziany przez teleskop nie przedstawia się nigdy zupełnie okrągły, ponieważ w epoce w której ukazałby nam całe swoje oświecone półkole, znajduje się właśnie po za Słońcem które go zaćmiewa.

Z powodu swego zbliżenia do Słońca, dla nas, mieszkańców Ziemi, Merkury może być widziany jedynie o zmroku, wieczorem lub rano, nigdy w pośród nocy.

(*) Obrazek Maszkary w następnych pomieścimy numerach.

Starożytni znali już tego planetę i odkryli jego bieg około Słońca. Najdawniejsze; znane nam a odnoszące się do niego obserwacye astronomiczne, datują na 265 lat przed erą chrześciańską, a spostrzeżenia chińskich astronomów nie sięgają dalej jak na 118 lat przed tąż erą. Była jednak znaną i nazwaną daleko dawniej przez astronomów chaldejskich; a już przeszło cztery tysiące lat temu, jeden z dni tygodnia, środa, nazwany został: dniem Merkurego *Mercurii dies*. Trzeba było bardzo długich spostrzeżeń i nader przyjaznego klimatu, jak w Chaldei lub Egipcie: aby się przekonać że to *jedna i ta sama gwiazda* ukazuje się raz przed wschodem drugi raz po zachodzie Słońca. Dopiero od czasu wynalezienia udoskonalonych lunet astronomicznych, można było badać fizyczny układ planet, a zaledwie w końcu ostatniego wieku zdołano rozróżnić niektóre szczegóły na tarczy Merkurego, tak trudnej do obserwacyi. Najpierw astronomowie zajęli się zbadaniem: czy świat ten może obracać się około swej osi? długie obserwacye wykazały że obrót ten odbywa we 24 godzin i minut 5 jednak wymiar ten nie jest jeszcze udowodniony. Dzień Merkurego słoneczny, według powyższego obrachowania, różni się tylko o 21 minut od dnia Ziemi, jeźli więc podzielono tam dnie jak u nas na 24 godzin, to godziny te są nieco dłuższe jak nasze. Dnie więc są prawie jednakowe ale lata cztery razy prześzło krótsze.

Obserwacye wykazały że na Merkurym grunt jest nierówny, najeżony wzgórzami, a dające się widzieć wystrzępienia na linii oddzielającej światło od cieniu, świadczą o istnieniu wysokich gór zasłaniających światło słoneczne, oraz dolin pogrążonych w cieniu. Wysokość tych gór wynosi 253-cią część średnicy planety, to jest około 19 kilometrów. Najwyższa na naszym świecie góra Gaurisankar (w łańcuchu gór Himalaya) wznosi się o 8,840 metrów nad powierzchnią morza, zatem gdyby zmierzyć od najgłębszego jego dna, wysokość góry podwoiłaby się i prawie dosięgła około 17,000 metrów, co stanowiłoby dopiero zaledwie siedmsetną część średnicy Ziemi, to każe wnosić (gdyż nie jest to miara dokładna) że, stosunkowo, góry Merkurego są trzy razy wyższe niż nasze. Podczas przejść Merkurego między Słońcem a Ziemią, astronomowie Schroeter (7 maja 1799 r.) i Huggins (5 listopada 1868 r.) widzieli czy mniemali że widzą, jakiś punkt świetlny na ciemnej jego tarczy, skąd powstał wniosek że na powierzchni Merkurego znajdują się wulkany buchające ogniem, ale żaden z innych astronomów dotąd dostrzedz ich nie mógł.

Lecz ponieważ ogólne pojęcia nasze o możliwości życia na innych planetach, są nieodłączne od zapytania: czy istnieje na nich podobna naszej atmosfera — chociaż nie jest to bynajmniej nie dająca się zbić zasada, bo zkąd pewność że życie nie może istnieć w warunkach zupełnie odmiennych od naszego? jest jednak naturalne i logiczne, ponieważ główną podstawą całego ustroju organicznego ziemskiego, równie roślinnego jak zwierzęcego, jest powietrze i oddychanie. Tak więc zbadanie atmosfer planetarnych jest dla nas nader ważnem, tak ze stanowiska astronomicznego, pod względem poznania fizycznego układu innych światów, jakoteż ze stanowiska fizyologicznego, pod względem analogii jaka zachodzić może między niemi a naszym światem odnośnie do możliwości ich zaludnienia.

Czy Merkury, ten najpierwszy planeta układu słonecznego, ma atmosferę? pytania tego długo nie można było rozwiązać, gdyż obserwowanie go tak jest utrudnione iż nasuwały się dostrzegaczom różne

błędne przypuszczenia; dziś możemy już odpowiedzieć twierdząco.

Pierwsze ślady atmosfery na Merkurym, dały się dostrzedz astronomom podczas przechodzenia jego przed Słońcem. Badaniem tego faktu zajmowali się długo znakomici astronomowie i zastosowano do niego cudowną metodę analizy widmowej. Astronom Vogel zbadał z jej pomocą że główne paski widma Merkurego, odpowiadają zupełnie taśmie słonecznej. Nie ma w tem nic dziwnego, skoro planeta ten błyszczy jedynie światłem jakiego mu użycza Słońce. Lecz do tych linii łączą się inne jemu właściwe: pewne pasy nieukazujące się w widmie słonecznem jak tylko wówczas gdy gwiazda ta znajduje się bardzo nizko nad horyzontem, a pochłanianie przez naszą atmosferę jest bardzo silne, znajdują się stale w widmie Merkurego. Z tego koniecznie wynika wniosek: że około Merkurego istnieje *powierzchnia gazowa wywierająca na promienie słoneczne działanie pochłaniające, równające się wywieranej przez naszą atmosferę gdy dochodzi do swego maximum.*

Zdaje się że atmosfera tego planety musi być bardzo gęsta, co może miarkować palące działanie promieni słonecznych, które w okolicznościach istniejących na Ziemi, sprowadziłoby temperaturę wody wrzącej podług obliczeń Newtona.

Widząc że Merkury równie jak Ziemia nasza opisuje swą drogę około Słońca, unoszony tąż samą siłą, jaka i naszą Ziemię utrzymuje w przestrzeni, że rządzą nim też same prawa, przejmują też same wypływy światła i ciepła słonecznego; że otacza go atmosfera w której unoszą się chmury, wieją wiatry, padają deszcze; że ma grunt nierówny na którym także wysokie góry wznoszą swe wyniosłe szczyty; że odbywa biegi, które wytwarzają lata, pory, klimat dnie i noce, nasz rozum, nasza logika domaga się aby te przyczyny wywoływały skutki. Złe położenie tego świata względem naszego nie dozwala nam rozpoznać dobrze jego powierzchni ani narysować mapy — jednak uzupełniając oczy ciała, oczy umysłu dostrzegają po za tą warstwą chmur jakiej teleskopy nasze przedrzeć jeszcze nie zdołały, niezmierzone i burzliwe życie roztaczające się na powierzchni tego planety i spełniającego swe zadanie i przeznaczenie jednocześnie ze spełnieniem się przeznaczeń naszego świata. Wprawdzie nie widzimy tego życia, ale odgadujemy je, podobnie jak patrząc zdaleka na idący pociąg kolei żelaznej, nie widząc w wagonach jego odgadujemy podróżnych. Wszystko zdaje się nam mówić że na tym świecie równie jak na naszym istnieje miliony istot żyjących zmieniających się z pokolenia w pokolenie. Lecz jakież jest to życie rozwinięte na Merkurym? Czy są tam krajobrazy równie piękne jak nasze? drzewa i kwiaty podobne tym które tu upajają nas swoją wonią? zwierzęta takie jak stąpające po naszej ziemi, pływające w naszych wodach lub unoszące się po nad naszemi głowami? a nakoniec i nadewszystko: czy mamy upatrywać tam ludzi tejże samej co my natury? Ażeby odpowiedzieć na te pytania, zwrócimy się do analizy i syntezy naukowej.

Pomiędzy przyczynami oddziaływającemi na planety dla oznaczenia na jej powierzchni stanu i form życia, najgłówniejsze są trzy następujące: 1-o różnica ciepła i światła odbieranego od Słońca, 2-o różnica ciężkości ciał na jej powierzchni; 3-o różnice konstytucyi fizycznej i gęstości materyi z jakiej się składają.

(d. c. n.)

Korespondencya z Londynu

Sezon londyński. — Uroczystość w Coventry. — Skandaliczne wydawnictwo. — Mieszkania dla biednych wyrobników z funduszu Peabody'ego. — Wyrób i handel obrączkami ślubnemi. — Fabryki maszyn do szycia. — Zjazdy duchowieństwa protestanckiego. — Stowarzyszenie odrodzenia złodziei przez pracę. — Meetingi w kwestyi przyznania kobietom prawa głosowania. — *Shakespeare'a Memorial.* — Wystawa pamiątek i konkurs na pomnik i posąg Byrona. — Wystawy malarstwa. — Ouida i jej powieści włoskie.

Jakże to zmienił się do niepoznania ów tak zwany „sezon londyński” daremnie upatrywałem śladu owej cechującej go dawniej gorączkowej działalności czy może raczej ruchliwości; tegoroczny był tak posępny i modny jak nigdy może. Wyjazd królowej ze stolicy, nieobecność księżnej Wallii, niepogody, a może najgłówniej ogólne zaniepokojenie i niepewność z powodu wojny której końca ani obrotu przewidzieć prawie niepodobna, odjęły ochotę do zabaw, i pobudzając do oszczędności, skłoniły do pozostania na wsi. Nawet tak świetne zawsze wyścigi w Epsone, w tym roku uwydatniły wyraźnie tę zmianę zaszłą w usposobieniu arystokracyi angielskiej; napływ publiczności był tak wielki jak zawsze, ale jakże to inna była publiczność!... Miejsce okazałych świetnych pojazdów, zdobnych herbami i koronami, odznaczających się bogatą liberyą, rumakami i zaprzągiem, zajęły po większej części skromne mieszczańskie powozy, a nawet kaby i omnibusy; zamiast świetnych damskich parasolek, roiły się wszędzie parasole deszczowe. Zyskały za to na tem uroczystości prowincyonalne, gdyż obchodzono je w tym roku z nieznanym dotąd przepychem i wystawnością.

Do takich należy przedewszystkiem uroczystość w Coventry, która tylko co lat siedem bywa obchodzoną. W tej stolicy dawnego królestwa Mercyi, zebrał się cały wielki i świetny świat londyński, tu paradowały bogate czterokonne powozy, nie przybyłe do Epson. Młoda dziewczynka mająca przedstawiać lady Godivę, żonę Leofryka hrabiego Coventry, odpowiadała w zupełności swojej trudnej wcale nie *ukostiumowanej roli.*

Oto jak podaje Tennyson legendę mającą tłómaczyć źródło i powstanie wzmiankowanej uroczystości.

Leofryk, hrabia Coventry, zdzierca i niegodziwiec jakiego świat nie widział, wyssawszy wszelkie zasoby swych poddanych, powiększył pomimo to bezmiernie podatki i przysiągł że spali miasto całe, jeźli w oznaczonym terminie nie będą uiszczone. Dowiedziawszy się o tem, młoda jego żona, padła mu do nóg błagając o litość nad biednym ludem; Godiva była cudnie piękną; hrabia spojrzał na nią i nie mógł się oprzeć jej prośbie, ale wierny swej złej przewrotnej naturze, położył za warunek aby hrabina przejechała konno przez całe miasto w stroju Ewy w raju. Mężna hrabina miała tyle odwagi iż nie ulękła i nie cofnęła się przed tak niewykonalnym warunkiem, ale kazała otrąbić po całem mieście: iż dla odwrócenia od mieszkańców strasznej plagi ognia, z woli swego męża i pana, o oznaczonej godzinie musi nago przejechać przez miasto, uprasza więc wszystkich aby pozamykali drzwi i okna domów i aby w owej porze nikt nie wychodził na ulice. Wszyscy mieszkańcy uszanowali wolę szlachetnej swojej obronicielki, z wyjątkiem nędznego miejscowego krawca, który poważył się wejść na dach i ukryć za komiami aby ztamtąd patrzeć na przejeżdżającą hrabinę, ale nie ominęła go zasłużona kara, gdyż utracił wzrok właśnie w chwili gdy miał ją zobaczyć. Na tę to pamiątkę odbywa się obchód i w tym dniu nad wieczorem ma miejsce uroczysty pochód i spalenie figury mającej przedstawiać „Peeping Tom“ niedelikatnego krawca. Weszło w zwyczaj że kawalkatę tę przedstawiają na jednym z teatrów londyńskich, a tłumnie zebrana niearystokratyczna publiczność, przyklaskuje z zapałem cywilnej odwadze dzielnej hrabiny.

W sądach angielskich wytoczona jest trudna do osądzenia sprawa, gdyż tak oskarżeni jak oskarżenie drażnią przyzwoitość publiczną, tak tu szanowaną. Niejaki p. Bradlaugh, księgarz jeden z tych reformatorów radykalnych co to mowami swemi, a więc językiem, całe społeczeństwo zreformować pragną, powiedział sobie i powstaje na to nieustannie, iż biedni są wyzyskiwani przez bogaczy; według jego filozofii przyczyną niższości i upokorzenia ubogich jest zbyt znaczna ich liczba. „I w tym to jedynie celu, woła do swoich słuchaczy, prawa popierają troskliwie przyrost ludności, pozwalając młodzieniaszkom obojej płci zawierać związki małżeńskie, bez względu na ich zamożność. O! bracia moi, prostaczkowie! czyż nie widzicie w tem wyrachowania bogaczy? Im więcej będzie biedaków, myślą oni sobie, tem więcej mieć będziemy niewolników. Liczba ich przejdzie liczbę sług Abrahama; będzie ich więcej niż gwiazd na niebie, niż ziarnek piasku na morskich wybrzeżach, a im ich będzie więcej tym robotnik taniej nas kosztować będzie. A więc niech rosną i rozmnażają się aby stać się pastwą naszych kuźni, kopalń, fabryk i koszar.“

Oto zasady jakie Bradlaugh przypisuje bogaczom, a że jest księgarzem, wydał przedruk broszury jakiegoś autora, podzielającego przekonania Mathus'a pod względem rozrostu ludności, tylko że podaje zarazem sposoby powstrzymania tej plagi, zupełnie nieznane Mathus'owi. Bradlaugh rozrzuca wszędzie w miejscach publicznych tysiące egzemplarzy tego wydania, a agenci jego wkładają w uszy przechodni tytuł i treść książki. Oprócz tego Bradlaugh zawiązał współkę księgarską z mistress Aniną Besant, żoną pastora z Yorkshire, która oswoiwszy się z prawieniem z kazalnicy z której przemawiała podczas nieobecności męża, przybyła do Londynu głosić kurs filozofii dla osób pragnących wyłamać się z wszelkich szanowanych dotąd obowiązków. Otóż wyż wzmiankowaną wydaną przez nich książkę zaskarżono jako obrażającą przyzwoitość i moralność publiczną; sędzia przed którego wzniesiono oskarżenie uznał się nie kompetentnym i sprawę odesłano do sądu Ławy królewskiej, zanim wyrok zapadnie nie można zabronić sprzedaży, ale za to *Towarzystwo wykorzeniania występków* niezmordowanie prześladuje wydawców. Mistres Besant wypowiedziała publicznie silną i nie zupełnie pozbawioną logiki obronę swoich i wspólnika swego przekonań oraz zaskarżonego wydawnictwa, dowodząc że książka ta napisana była przed kilku laty przez nader zdolnego lekarza i w owym czasie doczekała się 25 wydań. Publiczność angielska, zwykle dość pobłażliwa, tym razem stanęła po stronie skarżących a potępiła oskarżonych.

Kwestye podobne są teraz w Londynie że tak powiem na porządku dziennym, bo oto i konserwatorowie funduszów pozostawionych przez filantropa Peabody na budowę mieszkań dla biednych ale uczciwych wyrobników londyńskich, ułożyli także ustawę natchnioną duchem Malthusa, nie dozwalając zamieszkać w domu Peabody'ego żadnej rodzinie mającej więcej jak czworo dzieci i niedawno chcieli wyeksmitować pewną kobiecinę, której przed upływem kontraktu przybyło piąte dziecko. Ale kobiecina nie chciała zwolnić z kontraktu, sądy nie wie

działy żadnego tytułu aby ją można było do tego zmusić — więc pozostała, a dyrektorowie odtąd nie chcą nikomu najmować dłużej jak na rok, aby mogli wydalić w każdym razie nie stosujących się do ich przepisów. Cóżby na to powiedział Peabody, który jako Amerykanin przybyły z Far-West'u, musiał uważać dzieci za największe bogactwo fermiera, a nie za winę skazującą na wydalenie z mieszkania.

Jednak i filantropia i ekonomia społeczna zostały pokonane przez wspólnego swego wroga, przez handel nieznający ani czułych westchnień ani skarg filantropijnych. Sprawozdanie nadesłane z Birmingham przekonywa że pomimo przemów i wydawnictwa Bradlaugh'a oraz znanych teoryi Malthus'a, liczba wyrobionych i sprzedanych obrączek ślubnych ciągle się zwiększa. Z tego urzędowego sprawozdania można się przekonać o liczbie małżeństw zawieranych corocznie. Wyrabianiem obrączek zajmują się wyłącznie cztery domy i dostarczają ich na całą Wielką-Brytanię i na kolonie; zapotrzebowania nie zmniejszają się, wyjąwszy w nader ciężkich, trudnych do przebycia latach. Od lat przeszło piętnastu wysełają regularnie co tydzień do Londynu siedmdziesiąt tuzinów obrączek ślubnych. Oprócz prostych pospolitych obrączek, których rozchodzi się przeszło 100,000 tygodniowo na całą Anglię i kolonie, wielki mają pokup obrączki grube, szerokie, cizelowane, ciężkie i niezgrabne, przeznaczone dla przekupek ryb w Edymburgu, które pokaźnemi temi pierścieniami świadczą o swej moralności w obec kupujących i zarazem o swej wypłacalności dla dostawców. Te ciężkie obrączki są bardzo poszukiwane i cenione przez dziewczęta pracujące w Manchester, w Bradford i w Paisley, które mają ten przesąd, że aby być szczęśliwą w pożyciu małżeńskiem, potrzeba aby oblubienica z własnych oszczędności kupiła sobie ślubną obrączkę. To też biedne te dziewczęta często przez całe miesiące odmawiają sobie najpierwszych potrzeb, byle zebrać sumkę potrzebną na nabycie tego talizmanu, a koło Zielonych Świątek, jako w epoce w której najwięcej zawiera się tu małżeństw, można ich spotykać całe gromadki dążące wesoło, choć bez pończoch i trzewików do dość odległego miasta, aby tam kupić sobie obrączki u fabrykanta słynącego z tego, że wyrobione przez niego małżeńskie te okowy, najszczęśliwszą zapewniają przyszłość.

(*d. c. n.*)

LISTY Z TORUNIA.

M. D. Chamskiego.

III.

Rozkwit literatury ludowej, która oprócz pism peryodycznych obejmuje wiele książkowych wydawnictw przedsiębranych pojedynczemi siłami, lub kosztem towarzystw, nie odpowiada, bynajmniej, stanowi innych gałęzi piśmiennictwa... Zdaje się niemal że literatura ludowa w Poznańskiem i w Prusach Zachodnich zajęła tak dalece wszystkie siły literackie, że dla innych oddziałów już jej nie stało. Dawniej Poznańskie słusznie nazywano Atenami polskiemi, dziś zostało się po tem wszystkiem... wspomnienie. Nowsze pokolenie, trzeba mu oddać sprawiedliwość, wzięło w opiekę lud, rozwinęło poważne siły na polu ekonomicznem, potrafiło obudzić w szerszych kołach zmysł asocyacyi i solidarność w obronie interesów przeciw germanizmowi — ale w literaturze i sztuce samo nic nie zrobiło i karmi się tylko tem co dokonali tacy: Cieszkowski, Działyński, Libelt, Marcinkowski, Moraczewski, Raczyński, lub mniejsi: Berwiński, Kosiński, Bentkowski, Jarochowski Kazimierz, Koźmian, Łukaszewicz, Wegner, Motty i niewielu innych. Dzisiejsza generacya tutejszego społeczeństwa polskiego, nie wydała, ani jednego autora wybitnego talentu, czy to na polu literatury beletrystycznej, czy też na polu naukowem — i ani jednego artysty chociażby już średniego talentu. Na tutejszem nawet dziennikarstwie nieludowem, lecz polityczno-literackiem, odbija się niedostatek miejscowych sił literackich; wyjąwszy kroniki miejscowej i redakcyjnego działu politycznego, fejleton i naukowa część dziennika obrabiana jest zamiejscowemi, a ponieważ ten sposób jest i kosztowniejszy i trudniejszy, w rezultacie więc kulawo idzie. Wiemy o tem dobrze, iż każda redakcya obszerniejszego pisma, gromadzić i zjednywać dla siebie musi literackie siły rzetelnego talentu, bez względu na miejsce gdzie się znajdują — i tak nawet być musi, tak być powinno, ale chodzi tu o stosunek, i o to, że np. Poznań dziś dla wszystkich swoich wydawnictw (zawsze z wyjątkiem ludowych) spożytkować może zaledwie maluczką, prawie nienamacalną cząstkę lokalnych sił literackich, a wszystko dają mu inne prowincye polskie. Pod względem nawet samej *redakcyi* pism, więcej jest dobrej woli, jak talentu, więcej uczciwej tendencyi, jak prawdziwego dziennikarskiego obrobienia, więcej szlafrokowego gawędziarstwa jak polotu myśli — a przytem wszystkiem forma prawie zawsze zaniedbana. Nie utrzymujemy bynajmniej aby dobra wola i uczciwa tendencya w dziennikarstwie nie były zaletą — owszem, są one zawsze drogocenne, ale, podług naszego zdania, oparte na prawdziwym talencie i zmyśle dziennikarskim, wydają dopiero pod każdym względem pożądane owoce.

Na zasadzie tego, cośmy powiedzieli wyżej o stanie tutejszych literackich i artystycznych sił, nie można zupełnie robić zarzutu tutejszemu polskiemu społeczeństwu. Znajduje się ono w zupełnie odmiennych warunkach—i sądząc o niem, trzeba właściwie brać w rachubę te warunki.

Nastający na pięty germanizm i zaglądająca w oczy eksterminacya przez niemieckie *kulturträgerstwo*, musiały zwrócić społeczeństwo na drogę realnych interesów, to jest na tę drogę, którą niemcy starali się zalać lub zapchać sobą. Potrzeba było skupić siły materyalne, aby na polu ekonomicznem stanąć do walki z nieprzyjacielem, bo właśnie na tem polu groziło największe niebezpieczeństwo, które wybiwszy z pod nóg podstawę tuziemców, łatwiej już potrafiłoby zdemoralizować ich duchowo i narodowo. W takim stanie rzeczy, działalność literacka musiała ustąpić pierwszego miejsca działalności społecznej i ekonomicznej. Społeczeństwo nie tracąc z widoku swoich ideałów wziąść się musiało do twardej pracy, chodziło bowiem o jego byt, o indywidualność, o tradycye, o przeszłość historyczną, o narodowość. W innym więc kierunku rozwinęła się działalność tutejszego społeczeństwa: w kierunku ekonomicznym, i w kierunku wpływu na lud, aby z całej masy pozyskać prawdziwych obywateli, pojmujących swoją indywidualność i obudzić w niej poczucie godności i siły. I wyznać trzeba, że pod tym względem, rezultaty okazały się wielkie i pocieszające. Lud stał się moralnie uobywatelszczony, a prace niemieckich *kulturträgerów* tak dalece osłabły w skutkach, że dziś byleby tylko nie ustawać dalej w drodze, pomimo niesprzyjających zewnętrznych okoliczności, nie ma już obawy, aby tutejszy żywioł słowiański połknięty został przez germanizm, choć temu ostatniemu nie brak na coraz nowszych środkach, wytworzonych przez *niemiecką cywilizacyę*, nie zawsze znaczącą to samo co *ludzka* cywilizacya — środkach tępiących to, co nie jest niemieckie.

Przy wszystkich brakach, jakie nosi tutejsze dziennikarstwo o szerszych ramach pod powyższemi względami, spełniło one i spełnia z całem poczuciem zacnej sprawy, swój obowiązek; jemu to w znacznej części zawdzięczać należy ciągły wzrost najróżnorodniejszego rodzaju stowarzyszeń, spółek i przedsiębiorstw polskich, jemu także w wielu okolicznościach należy się wdzięczność od *ogółu* za ciągłe czuwanie nad interesami *ogółu*, i zachęcanie go do spełniania obywatelskich obowiązków.

Tak rzecz objaśniwszy i określiwszy stanowisko z jakiego się zapatrujemy na sprawy tutejsze, przechodząc od dziennikarstwa do krótkiej wzmianki o książkowych wydawnictwach, musimy zaznaczyć fakt, że w porównaniu z latami poprzedniemi, dziś w Poznańskiem i Prusach Zachodnich prawie nic się nie wydaje, a i to, co się wydaje, to są dzieła autorów zamiejscowych. Księgarstwo tutejsze, wyjąwszy jednego Żupańskiego, prowadzi tylko detaliczny handel, i ani się nie zna na wydawnictwach, ani też nie ma na to odpowiednich funduszów. Księgarstwo tutejsze, jak wszędzie, szczególniej u nas, posiada piękne szyby, ładne złocone okładki na książkach, eleganckie szafy w lokalu, huk książek do nabożeństwa w bogatych oprawach, ale własnych wydawnictw nie prowadzi, jest prostym sklepem, uważając książkę za *artykuł* tak dobry jak pieprz, lub cynamon. Księgarze tutejsi są bardzo uzdolnieni kupcy, ale sprzedając książki tak się na nich znają, jak się zna tak nazwany *Węgier* na obrazkach, które na jarmarkach sprzedaje. Nawet ci, którzy trochę posiadają kapitału, za nic w świecie nie włożą go w nakłady, głównie z tej przyczyny, że poziom ich humanitarnego wykształcenia jest w stanie ocenić tylko to, co im namacalnemi formami pod zmysły podpada. I co jest rzecz godna uwagi, że tu, wydawcami więcej są właściciele drukarni, aniżeli księgarze.

(*d. c. n*).

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 17 (29) Августа 1877 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 34.

(Dokończenie).

N. 30. Ubranie ranne formą princesse, z dodaną do pleców częścią fałdowaną.

Model odrobiony był z kretonu w paski; plisowanie u dołu trzymało z tyłu 15, z przodu 9 cent.; przy kołnierzu marynarskim, mankietach i kieszonkach 3 centymetry, a koronka 6 cent. szerokości. Kokardy ze wstążki kolorowej nie tylko przy nagłówku fałd, kołnierzu i mankietach, lecz i z przodu dane być mogą na zapięciu sukni.

N. 31. Bluzka fularowa. Krój stosowny, ryc. 39—40 w N. 28.

Bluzki fularowe szczególnie dogodne są w podróży lub u kąpieli, oraz pod paltociki; robią je najczęściej popielate lub granatowe, gładkie albo w paski czarne, garnirowane niciana koronką. Bluzkę kraje się z plecami gładkiemi, albo z wszytemi w karczek; rękawy dość szerokie marszczy się z wierzchu przy ręku, i wszywa w pasek 7 cent. szeroki zeszyty, tak luźny ażeby ręka przechodziła z łatwością. Do paska przyszywa się mankiet w górę wywinięty, trochę odstający lub gładki oszyty koronką, 6 cent. szeroką, która jest także wachlarzowa naszyta z przodu na zapięciu bluzki.

N. 32. Suknia z kołnierzem i rękawami zdobnemi nicianą koronką.

Kołnierz zupełnie prosty, 44 cent. długi a 12 cent. szeroki, robi się z dwóch zeszytych ze sobą wstawek niciany koronkowych, 3 cent. szerokich, u dołu i z boków oszytych gładko koronką 6 cent. szeroką, a w górze złożonych w środku w płaską fałdę, i wszytych w wązki, 37 cent. długi pasek. Wykrój stanika garniruje się krepowem plisowaniem, pod kołnierz podkłada się wstążkę kolorową, zakończoną pod wykrojem rozetą z 9—10 pukli, ułożoną na kółku muślinowem. Pod rozetą przypięty jest żabot z koronki, przyszytej do prostych, 8 cent. długich brzegów trójkąta muślinowego, w górze zmarszczonego. Rękawy ogarnirowane w sposób na ryc. 32 wskazany), koronką i ozdobione kokardą.

N. 33—35. Ubranie z vêtement zrobionem z dwóch chustek beżowych. Krój stanika z długą baskiną podług ryc. 25—26 w N. 32.

Do spódnicy z faille w ciemno-bronzowym kolorze, ogarnirowanej dwoma wązkiemi plisowanemi falbankami, dodany jest stanik z długą baskiną i zręczna tunika, z dwóch miękkich chustek beżowych zakończonych frendzlą. Na modelu, chustki były jasno-piaskowe, w pasy bronzowe i niebieskie. Garnirunek tuniki stanowiła frendzla przyrabiana przy chustce; wykrój stanika i rękawy oszyte były blado-niebieską 7 cent. szeroką, imitacyą piór. Ryc. 35 przedstawia mały rysunek i miary tuniki, złożonej z dwóch brytów. Literą *a* oznaczone jest pół bryta przedniego, na któren u dołu potrzeba całej jednej chustki, materyał ścięty prosto od góry i kliniasto z boków, oraz pozostały od bryta tylnego, jest dostateczny na stanik i rękawy. Bryt przedni przyszywa się najpierw do stanika brzegiem górnym, szwem odwracanym, potem skośne boczne brzegi skraca się do 50 cent., przez założenie 5-ciu fałd płaskich; bryt tylny tylko ze strony przeciętej zakłada się w 4—5 fałd, skraca do 50 cent. i przyszywa do przodu, druga frendzlą zakończona strona, luźno zachodzi na drugi brzeg przodu, związanego pod nim na tasiemki. W górze bryt tylny składa się podwójnie na nagłówek 9 cent. szeroki, układa w podwójną kontrafałdę 18 cent. szeroką, podszywa tasiemką i przypina do stanika zapinanego z tyłu. Podług najświeższej mody, rękawy do łokcia i szmizetka plisowana konieczna przy kwadratowem wykroju, dają się z tego co spódnica materyału.

N. 36. Suknia z muślinu albo linon, ze stanikiem wyciętym w kwadrat i krótkiemi rękawkami.

Spódnica oszyta jest falbanką 24 cent. szeroką, plisowaną i w kontrafałdy układaną, w górze zakończoną nagłówkiem 3 cent. szerokim, a u dołu obrębem 4 cent., nad którym wszyta jest wstawka koronkowa, 3 cent. szeroka. Tunika cała złożona z bufek 8 cent., i wstawek 3 cent. szerokich, krojem zbliżona do tuniki ryc. 2 w N. 33, zarówno upięta być może na sukni princesse, jak i dodana do stanika z długą baskiną. Koronka marszczona przy tunice, rękawkach, i wykroju stanika ma 6 cent. szerokości. Kokardy ze wstążki kolorowej. Mitenki długie siatkowe z białego kordonku.



N. 1. Suknia z kaftanikiem bez rękawów.

N. 1. Ubranie z vêtement formą paletota.

Opis do N. 35.

N. 1. Suknia z kaftanikiem bez rękawów.

Przyozdobienie sukni z gładkiego wełnianego materyału lub kretonu stanowi galon z haftem maszynowym i falbanki plisowane.

Krój kaftanika znajdą czytelniczki w przeszłych N-rach Tygodnika z których można także wybrać desenie do wyszycia na galonie.

N. 2. Suknia z długą polonezą. Krój sukni z trenem podaliśmy w dawniejszych N-rach; krój sukni sięgającej tylko do ziemi podany na arkuszu do dzisiejszego N-ru Tygodnika pod N. XVI, Fig. 62. Krój polonezy dopasować podług ryc. 35—36 w N-rze 18.

Spacerowe to ubranie składa się ze spódnicy przybranej dwoma plisowanemi falbankami po 9 cent. szerokiemi i plisami z wypustką ze sznureczkiem po 7 cent. szerokości, i z długiej polonezy spiętej na dwa rzędy, dopełnionej kołnierzem szalowym lub wykładanym a u dołu oszytej szeroką frendzlą wełnianą, nad którą idzie pięć rzędów stębnówki. Rycina 2 przedstawia suknię z ciemno popielatego mohairu; poloneza przykrojona podług wyżej wskazanego kroju tylko znacznie dłuższa, liczy z przodu 86 z tyłu 108 cent. długości, a szerokości 180—190 odpowiednio do figury.

N. 3. Szlaczek do woalika. Wywodzenie na tiulu.

Wywodzenie na tiulu jedwabnym w dobrym gatunku daje się pełą czarną, białą, ponsową, granatową lub t. p. Deseń wyszycia wskazuje ryc. 3; na frendzlę kwaścikową potrzeba wiązać po 16 nitek.

N. 4—7. Czepeczek dla osób w wieku. Robota na drutach. Forma na dodatku z krojami N. XIII, Fig. 58—59.

Na Fig. 58—59 podajemy formę czepeczka robionego na bardzo cienkich drutach stalowych z nici N. 200; robota wymaga wielkiej wprawy i dokładności ażeby była piękną, tylko więc osoby doskonale obeznane z robotami na drutach przedsiębrać ją mogą. Ryc. 5 i 6 przedstawia w naturalnej wielkości próbkę deseniu czepeczka, a ryc. 7 próbkę barbek skośnie zakończonych; muszki na koronce przy barbkach haftuje się po wykończeniu cienką niekręconą bawełną. Część środkową zaczyna się od brzegu dolnego na o. 150 i przybiera podług formy równo z obydwóch brzegów. Dla braku miejsca nie wypisujemy szczegółowo roboty każdego rzędu oczek, ale osoby wprawne w robotę na drutach wykonać ją mogą, podług załączonych próbek. Wykończone części spaja się wstawką (ryc. 5), przewleczoną wązką kolorową wstążeczką. Przymarszczenie i potrzebną objętość tych części odznaczamy na Fig. 58—59. Garnirunek czepeczka stanowi riusza z jedwabnego, 3 cent. szerokiego tiulu; kokardy są ze wstążki 4 cent. szerokiej.

N. 8. Szlaczek do kołnierzyka który podamy w N. 36.

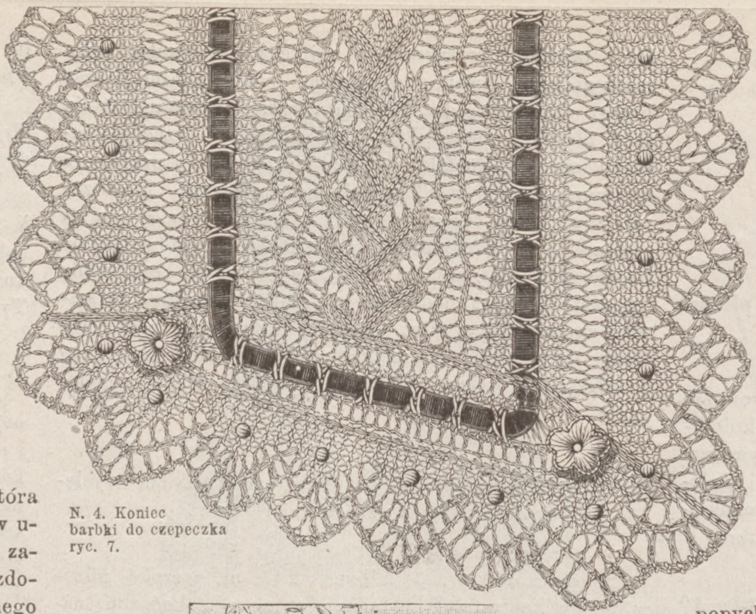
N. 9. Kapelusz dla dziecka.

Szyje się z białego perkalu w który wstębnowane są na maszynie rzędy sznureczka białego, jedne tuż za drugiemi. Na rondko potrzeba podwójnego koła wyciętego z perkalu, mającego 30 cent. średnicy, a $8^1/_2$ szerokości, które w miejscach gdzie nitki wypadają skośno wygina się podług ryc. 9. Na główkę wzięte podwójne kółko liczące 23 cent. średnicy; wstębnowywanie sznurka zaczyna się w rondko od szerszego brzegu, i przeprowadza raz za razem aż do 1 cent. odstępu od zewnętrznego brzegu

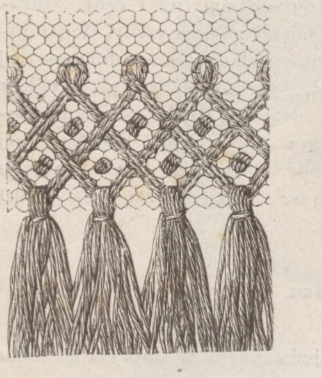
w główce wszywanie zaczyna się od środka i idzie w koło na przestrzeni mającej 14 cent. średnicy. Pozostający brzeg zagina się gdzieniegdzie w fałdki i zszywa z rondkiem. Z wierzchu główkę otacza suta riusza z batystu 6 cent. szeroka, brzegiem wycinana w ząbki. Końce przytwierdzone z boków pod rozetami.

N. 10—11. Wzory roboty krzyżowej na pantofle, woreczki i t. p.

N. 12—13. Kosz na papiery ozdobiony pasem z kanwy papierowej w deseń układany wypukło.



N. 4. Koniec barbki do czepeczka ryc. 7.



N. 3. Zakończenie woalika. Wywodzenie na tiulu.

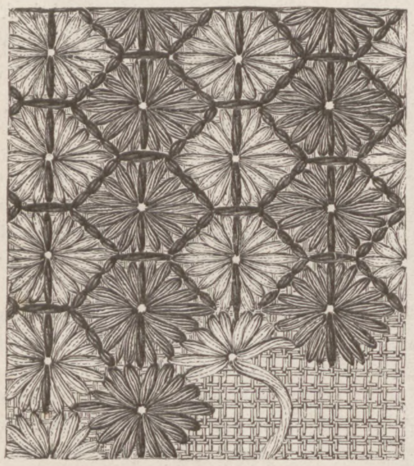
Na rycinie 12 podajemy nowy wzór roboty wypukłej z kanwy papierowej, która dawniej bardzo była w użyciu; tutaj jest tylko zastosowana do przyozdobienia kosza plecionego z czarno-lakierowanej trzciny, z pozłacanemi ozdobami. Rycina 13 wskazuje w naturalnej wielkości pas z kanwy papierowej koloru piaskowego, 14 cent. szeroki na którym układane są rozety i szlak z kanwy do cieniu, ozdobione wyszyciem z kolorowej filozeli. Rozety złożone z trzech pokładów kanwy odmiennie z brzegów wyciętej, wycinają się ostrym scyzorykiem. Szlaczki brzeżne składają się z kwadracików żółtych, przyszytych niebieską filozelą i z białych przytrzymanych szafirowemi ściegami; zęby wyszyte są filozelą piaskową do cieniu. Wnętrze koszyczka podwłóczy się kolorowym fularem.



N. 9. Kapelusz dla małego dziecka.

N. 14. Ząbki szydełkowe.

Zaczyna się od * 18 o. pow. dalej zaczepia się 1 o. śc. w czwarte z o. pow., 3 o. pow., 3 p., 1 sł. w pierwsze o. pikota, 14 o. pow., 1 o. śc. które spaja w pentelkę 18 o. pow., 2 p. w oczko łączące pentelkę, dalej 7 pikotów i 3 o. śc. zajmowane w 6-te 5-te i 4-te z 14 oczek pow. Powtarzać od * z tą tylko różnicą że robiąc 18 oczek pow. podług ryc. 14 trzeba po zrobieniu 6 o. zaczepić 1 o. w siódmy p. poprzedniego ząbka. Górny brzeg stanowi rząd o. śc. i rząd sł. rozdzielanych 1 o. pow.



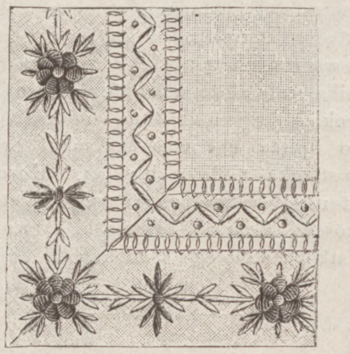
N. 10. Tło do pantofli i t. p. Wyszycie na kanwie.

N. 15. Ząbki szydełkowe z mignardissą.

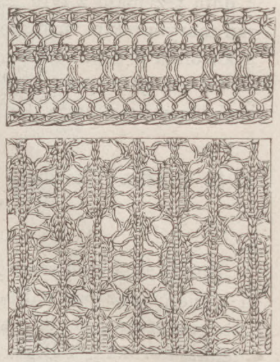
Robotę trzeba obliczyć podług ryc. 15; zresztą liczba oczek zależy od grubości mignardisse i bawełny.

N. 16—19. Haft szydełkowy w tamborku.

Ten rodzaj haftu, dawniej niezmiernie używany, potem zarzucony po rozpowszechnieniu maszyn haftujących ściegiem łańcuszkowym, został znów wywołany z zapomnienia i wiele osób zajmuje się nim z upodobaniem. Dla tego też podajemy dziś krótki opis tej roboty; na ryc. 16 przedstawiliśmy wzór krosien do dużych robót np. serwet, chustek lub t. p. Ramka 150 cent. długa 12 szeroka przyszrubowana jest do postumentu 85 cent. wysokiego w ten sposób, iż można ją obracać podług woli co chroni od zbytniego wyciągania ręki przy robocie. Oprawa roboty w krosna dopełnia się w ten sam sposób jak w krosnach do roboty kanwowej. Mniejsze roboty rozpina się w okrągłej ramce zwanej tamborkiem przedstawionej na ryc. 17; ramka urządzona do przyszrubowania składa się z dwóch kółek, między które wsuwają się brzegi roboty; na rycinie 17 wskazaliśmy jak trzyma się ręce przy haftowaniu szydełkiem — prawa ręka jest zawsze na wierzchu i popycha szydełko pod spód gdzie ono chwyta nitkę podsuwaną ręką lewą i wyciąga pentelkę na wierzch przez materyał sztywno rozpięty. Odpowiednio do wielkości ściegiem potrzeba wkładać szydełko w równych odstępach i właśnie ta równość ściegów stanowi główną zaletę roboty. Jeżeli pentelki roboty idą w górę jak na ryc. 18 to nitka powinna być zarzucaną na szydełko od strony prawej ku lewej, jeżeli zaś ściegi muszą się zwracać na dół jak to wskazuje ryc. 19 to nitka robocza zaczepia się szydełkiem od spodu. Przy dużej robocie trzeba wziąść całą szpulkę nici i przywiązać ją przy ramce tak aby nitka dała się wysuwać swobodnie, jak na ryc. 16.



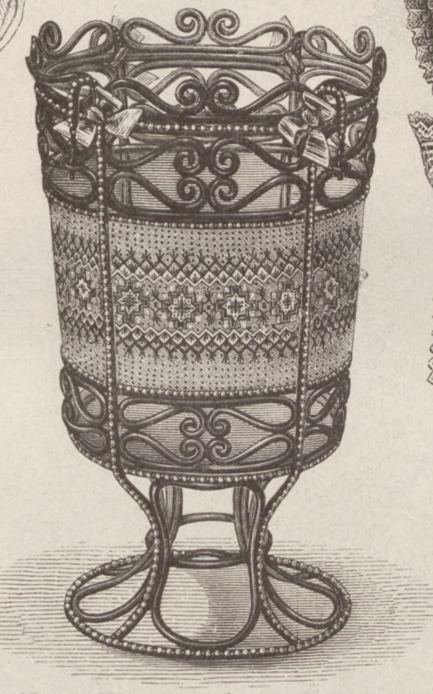
N. 8. Szlak do ryc. 25 i 26 w N-rze 36.



N. 5—6. Tło robione na drutach do czepeczka ryc. 7.



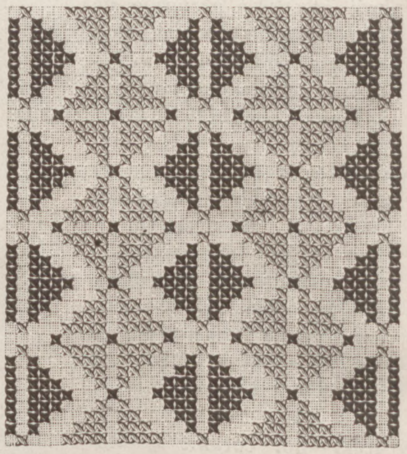
N. 7. Czepeczek robiony na drutach. Krój na arkuszu N. XIII. Fig. 58—59.



N. 12. Kosz do papierów. Patrz ryc. 13.

N. 20. Serwetka dla dziecka. Haft szydełkowy w tamborku. Krój i deseń na arkuszu N. VIII, Fig. 31—32-d.

Serwetka którą daje się dziecku zamiast fartuszka, gdy siada do jedzenia, może być zrobiona z takiego materyału deseniowego jak na ręczniki, z piki, dymki białej lub półpłótna. Wykrój szyi podszywa się listewką. W krosnach ryc. 16 wskazany wzór drugiej takiej serwetki, do której deseń podaje fig. 32-b na arkuszu z krojami.



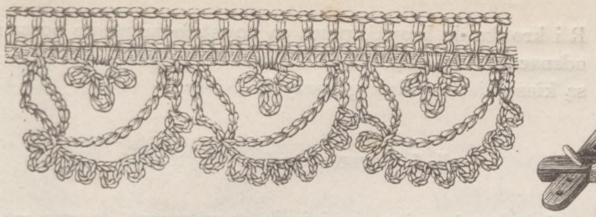
N. 11. Deseń do wyszycia na pantofle itp.



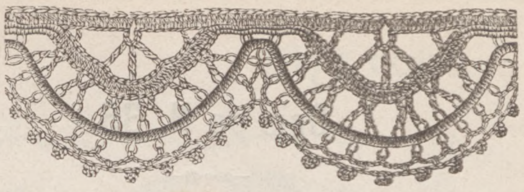
N. 13. Szlak z kanwy papierowej do ryc. 12.

N. 21—24. Serweta na stół do jadalnego pokoju. Haft szydełkiem w tamborku. Deseń na arkuszu Fig. 34.

Opis roboty w tamborku daliśmy przy ryc. 19 — szlak do serwety ryc. 21 załączony jest w naturalnej wielkości na ryc. 22 arabeski robią się podług Fig. 34. Po nad szlakiem można dać napis z liter gotyckich lub innych; odpowiednie wzory załączają ryc. 23—24. Ażeby deseń lepiej się odznaczał wzięta jest na szlak i pasy weba kolorowa.



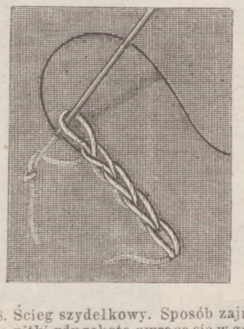
N. 14. Ząbki robotą szydełkową



N. 15. Ząbki robotą szydełkową z mignardisse.

N. 25—26. Stanik z fałdowaną baskiną. Krój na arkuszu N. III, Fig. 13—16.

Stanik przedstawiony z przodu i z tyłu, tudzież z dwojakiem przybraniem rękawów na ryc. 25—26, różni się tem od podawanych dotychczas obcisłych kirasów że ma baskinę z tyłu składającą się w fałdy. Krój dopasować trzeba podług formy załączonej przy ryc. 25—26 w N. 32 Tygodnika Mód, a zmianę zachodzącą w baskienie podług Fig. 13—16 na arkuszu do N-ru dzisiejszego. Szerokość potrzebną na założenie fałdów naddaje się przy krajaniu części pleców, podług linii kropkowanych widocznych na Fig. 16.



N. 18. Ścieg szydełkowy. Sposób zajmowania nitki gdy robota zwraca się w górę.

N. 27—28. Suknia z vêtement złożonem z tuniki i stanika. Wskazanie kroju tuniki na arkuszu N. XIV, Fig. 60.

Takie vêtement można przerobić z dawniejszej suto fałdowanej tuniki, którą łączy się z gładkim, długim stanikiem.

Fig. 60 wskazuje krój pojedyńczych brytów tuniki; wielka fałda zajmuje około 60 cent. z szerokości tylnego bryta, inne powinny leżeć gładko z przodu i na biodrach. Brzeg górny tuniki przypina się niewidocznie do brzegu baskiny lub przyszywa i odwraca; szeroki bryt boczny (c) zachodzi prawie do środka przodu pod brytem przednim, przyczepionym do środka przodu stanika a dalej spuszczającym się na bok do zapięcia na guziki, wśród których zakładane są fałdy, jak to widzimy na ryc. 27.



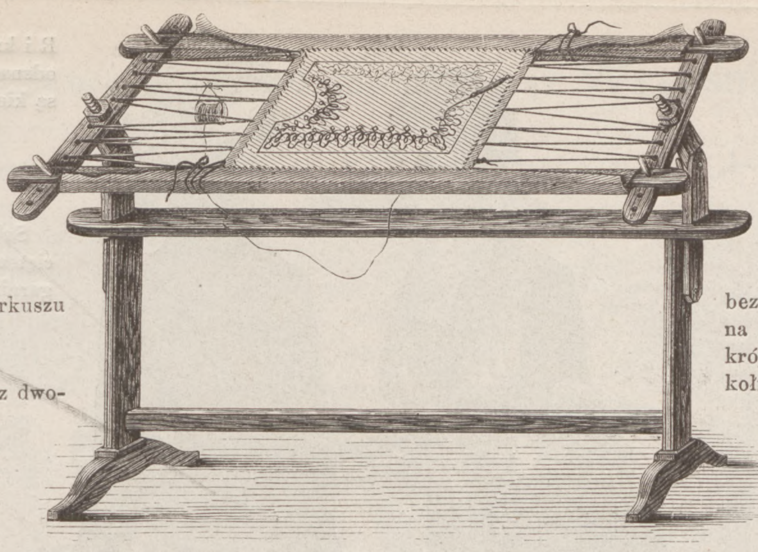
N. 23. Litery gotyckie Ścieg płaski.

N. 29. Koszyczek z patarafką. Deseń na arkuszu Fig. 64—66.

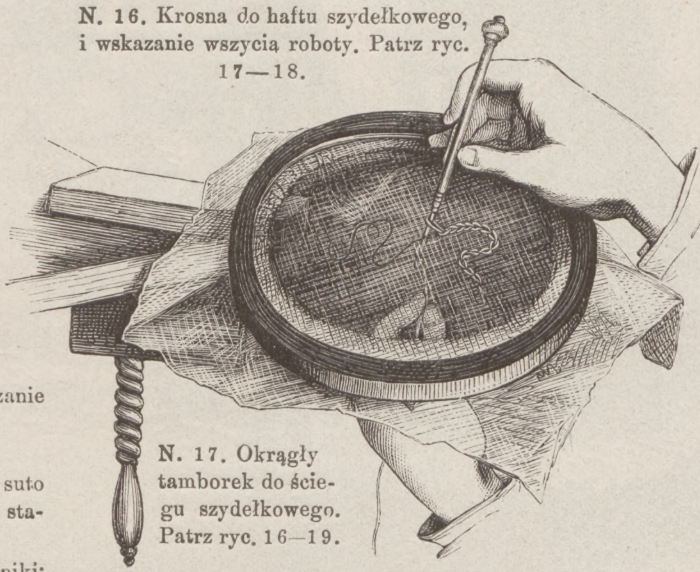
Dla wyrzeźbienia koszyczka potrzeba deseczki $^1/_2$ cent. grubej którą można pociągnąć lakierem; sześciokątne denko i ścianki koszyczka wyrzyna się podług Fig. 64—65; łączenie ścianek dopełnia się za pomocą jedwabnych sznurów z kwastami do przewleczenia których dane są dziurki w podłużnych brzegach ścianek. Patarafka potrzebuje koło mającego 26 cent. średnicy które wyrzyna się z brzegów podług Fig. 66; środek wyklejony jest kolorowym aksamitem.

N. 30. Kołnierzyk wykładany z koronką. Krój na arkuszu N. VI. Fig. 22.

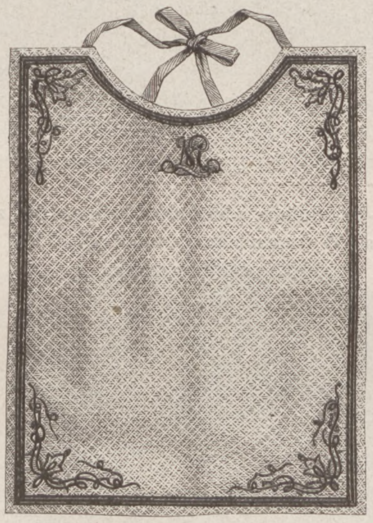
Na podstawie tiulowej wyciętej podług Fig. 22 przyszywa się podług ryc. 30 fałdowaną koronkę i wszywkę haftowaną a wyżej na tle z muślinu haftuje listki płaskim ściegiem; dzierganie łączy listki z sobą i zabezpiecza brzeg zewnętrzny. Po skończeniu haftu wycina się niepotrzebny muślin i tiul z pod wszywki. Wykrój szyi wszyty jest w muślinowy pasek. Od spodu kołnierzyka podwleczona wstążka repsowa $5^1/_2$ cent. szeroka a 125—150 długa, związana z przodu w kokardę.



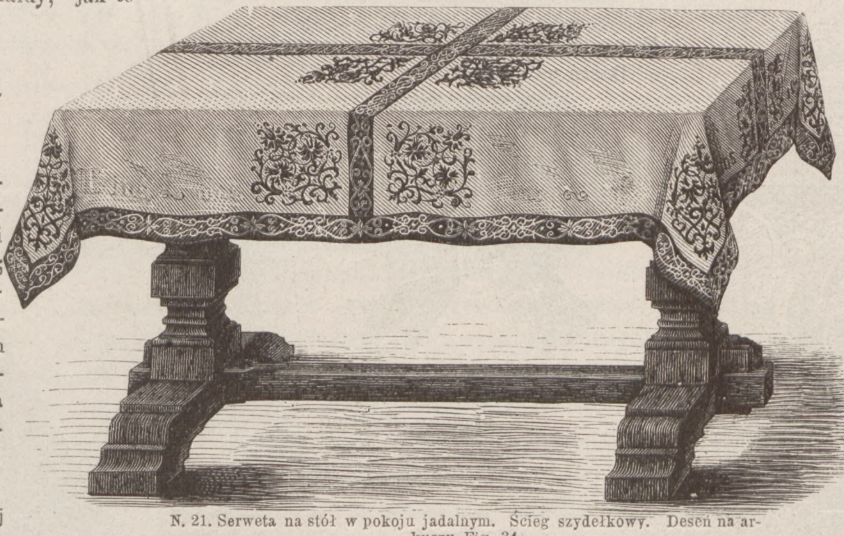
N. 16. Krosna do haftu szydełkowego, i wskazanie wszycia roboty. Patrz ryc. 17—18.



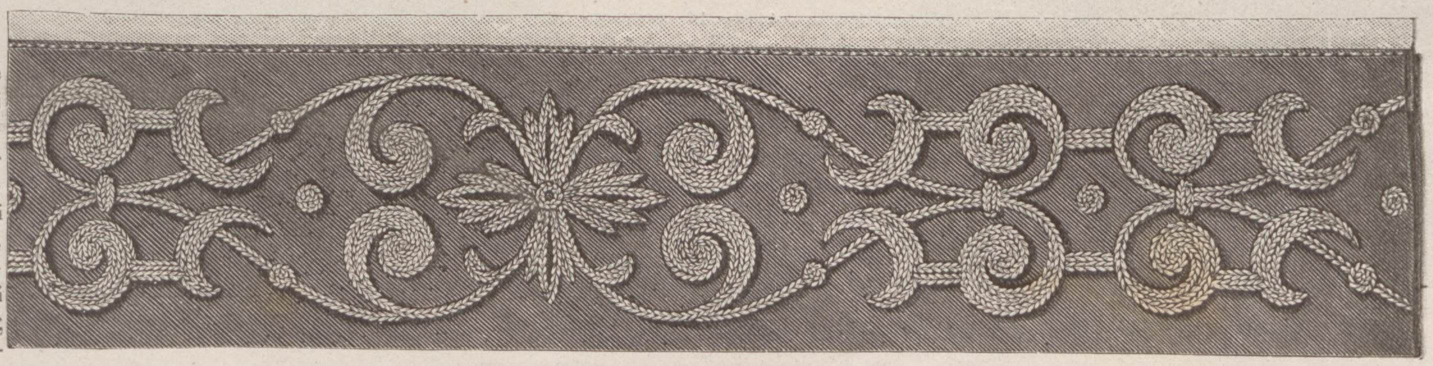
N. 17. Okrągły tamborek do ściegu szydełkowego. Patrz ryc. 16—19.



N. 20. Serwetka dla dziecka, Krój i deseń na arkuszu N. VIII, Fig. 31 i 32



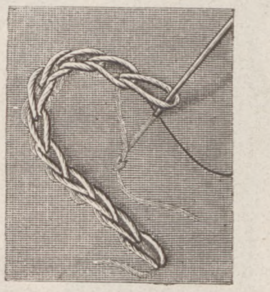
N. 21. Serweta na stół w pokoju jadalnym. Ścieg szydełkowy. Deseń na arkuszu Fig. 34.



N. 22. Szlak ściegiem szydełkowym, do ryc. 21.

N. 31. Ubranie domowe.

Suknia z gładkiego i deseniowego materyału zdobna jedwabnemi plisami i frendzlą. Vêtement formą stanika z długą baskiną do której przypięta jest tunika w psosób mało różniący się od ryc. 27—28, zapięcie dane więcej do tyłu a z drugiego boku suta kokarda z wstążki. Bryt tylny jest z materyału gładkiego, z którego dane naszycie wzdłuż pleców. Kołnierzyk jak na ryc. 31.



N. 19. Ścieg szydełkowy. Sposób zajmowania nitki gdy pentelki zwracają się na dół.

N. 32. Suknia z vêtement zfałdowanem z tyłu wachlarzowo. Wskazanie kroju na arkuszu N. XV, Fig. 61.

Fig. 61 załącza w zmniejszeniu krój vêtement—potrzeba także użyć tu formy N. II na arkuszu do N. 10 Tygodnika. Przody mają zwykły krój princesse; plecy złożone z kilku części krają się w formie baskiny i liczą 99 cent. długości, szwy dają się tylko na 52 cent. wzdłuż od wykroju szyi. Dół baskiny otrzymuje podszewkę i wypustkę z brzegów i podwija się pod spód aż do linii oznaczonej na Fig. 61. Pod baskiną przytwierdzone są boczki, ufałdowane wachlarzowo; boczki łączą się z plecami szwem 40 cent. długim, dalej zaczyna się brzeg części naddanej na ufałdowanie wachlarzowe, brzeg ten u obydwóch boczków składa się w kilku fałdek, wszywa w pasek i przyczepia do pleców. Fałdy wachlarzowe układają się podług krzyżyków i kropek oznaczonych na Fig. 61, między któremi zostawiony jest mały odstęp; górna grupa fałd odsunięta jest na 12 cent., niższa na 6 cent. od tylnego brzega. Od spodu przyszyte są końce do wiązania vêtement.



N. 24. Litery gotyckie. Ścieg szydełkowy.

Opis do N. 36.

N. 1—2. Narożniki do ryc. 44.

N. 3—4. Paletot z szalowym kołnierzem. Krój na arkuszu N. X, Fig. 40—47-a.



N. 25. Stanik z fałdowaną baskiną. Patrz ryc. 26. Krój na arkuszu N. III, Fig. 13—16.

Rycina 3 i 4 przedstawia z przodu i z ty-łu paletocik z czarnego jedwabnego repsu zdobny rzędami stębnówki i szmuklerskiemi guzikami Zszywając z sobą części paletota przykrojone podług Fig. 40—47, trzeba pamiętać że najpierw do obydwóch boczków Fig.



N. 27—28. Suknia z vêtement złożonego z tuniki i stanika. Wskazanie kroju tuniki N. XIV, Fig. 60.



N. 31. Suknia z vêtement.



N. 29. Koszyczek rzeźbiony z drzewa. Deseń na arkuszu Fig. 64—66.



N. 30. Kołnierzyk wykładany. Krój na arkuszu N. VI, Fig. 22.

41—42 przyszywa się część dolna Fig. 44, a następnie boczki łączy z przodami i plecami. Ta część dolna łączy się z przodem od *U* do krzyżyka, z plecami od S—T, przy tym szwie przykłada ją się do pleców pasując literą R do R i kropką do kropki, przez co powstaje założenie boczne odznaczone na Fig. 44. Na szwie poprzecznym dane są kieszenie, zupełnie go przysłaniające.

N. 5. Ubranie strojne wizytowe.

Suknia z jasnej materyi faille, z vêtement w pasy wyciętem pod szyją kwadratowo. Wzdłuż przodów naszyty garnirunek z koronki fałdowanej wachlarzowo, przepina-



N. 26. Stanik z fałdowaną baskiną. Patrz ryc. 25. Krój na arkuszu N. III, Fig. 13—16.

nej kokardami z wstążki; rękawy koronkowe sięgające do łokci, podszyte plisowaniem z crêpe lisse; takież plisowanie przy wykroju szyi. Mitenki jedwabne koloru sukni.

(d. c. n.)



N. 32. Suknia z vêtement sfałdowanem wachlarzowo. Wskazanie kroju na arkuszu N. XV, Fig. 61.

Dodatek z krojami i desenami do N. 35 i 36.

N. IX. Ubranie ... dla niedorosłej panienki. Ryc. 33—34 w N. 35.

Fig. 35. Przód razem z boczkiem (A, B, C, D, E, F, L). — —
Fig. 36. Plecy (C, D, E, K). ∿∿∿
Fig. 37. Rękaw (F, G, H, I). ═ ═ ═
Fig. 38. Mankiet (G, *). ∽ ∽ ∽
Fig. 39. Połowa kołnierza (K, L). ⊢⊣ ⊢⊣
Fig. 35-a—39-a. Zmniejszony rysunek wszystkich części sukni.

N. X. Paletot z kołnierzem szalowym, zapinany skośnie. Ryc. 3—4 w N. 36. Tygodnika.

Fig. 40. Przód (M, N, U, V, W, ., ┼, *, jedno załamanie formy).
Fig. 41. Boczek przedni (M, N, O, P). —— - —— -
Fig. 42. Boczek do pleców (O, P, Q, R). —— - —— -
Fig. 43. Plecy (Q, R, S, T, V, W, ., jedno załamanie formy). ═ × ═
Fig. 44. Część dopełniająca Figurę 41 i 42 (R, S, T, U, ., ┼). · × · ×·
Fig. 45. (Klapka do kieszeni (R, *). ◆ ◆
Fig. 46. Rękaw (M, X, Y, Z). ✕ ✕ ✕
Fig. 47. Połowa kołnierza (:). × — × — × —
Fig. 40-a—47-a. Zmniejszony rysunek wszystkich części paltota.

N. XI. Płaszczyk z pelerynką dla dziewczynki lat 3—5. Ryc. 1 i 12 w N. 36.

Fig. 48. Przod (a, b, c, d, e, k). ▬▬▬
Fig. 49. Plecy (a, b, c, d, i). —— • ——
Fig. 50. Rękaw (e, f, g, h). •┼—— •┼——
Fig. 51. Mankiet (f, h, *). — • — • —
Fig. 52. Połowa peleryny (i, k). ╱╲╱╲╱

N. XII. Paletocik dla dzieci lat 1—3. Ryc. 10 i 40 w N. 36.

Fig. 53. Przód (l, m, n, o, p, u, v, w). ═ o ═
Fig. 54. Połowa pleców (l, m, n, o, t). — o — o —
Fig. 55. Rękaw z mankietem (p, q, r, s). • ═ • ═
Fig. 56. Połowa kołnierza (t, u). o o o o o
Fig. 57. Kieszeń (v, w). ∪∩∪∩∪

N. XIII. Czepek robiony na drutach. Ryc. 4—7 w N. 35.

Fig. 58. Połowa części środkowej (x, y) ✳ — ✳ — ✳
Fig. 59. Część boczna (y, z). + + + + +

N. XIV. Tunika do ryc. 27—28 w N. 35.

Fig. 60. Zmniejszony rysunek brytów z miarami długości i szerokości. *a* Bryt przedni, *b* bryt boczny od strony lewej *c* bryt boczny od strony prawej, *d* bryt tylny.

N. XV. Vêtement z tyłu wachlarzowo ułożone, do ryc. 32 w N. 35.

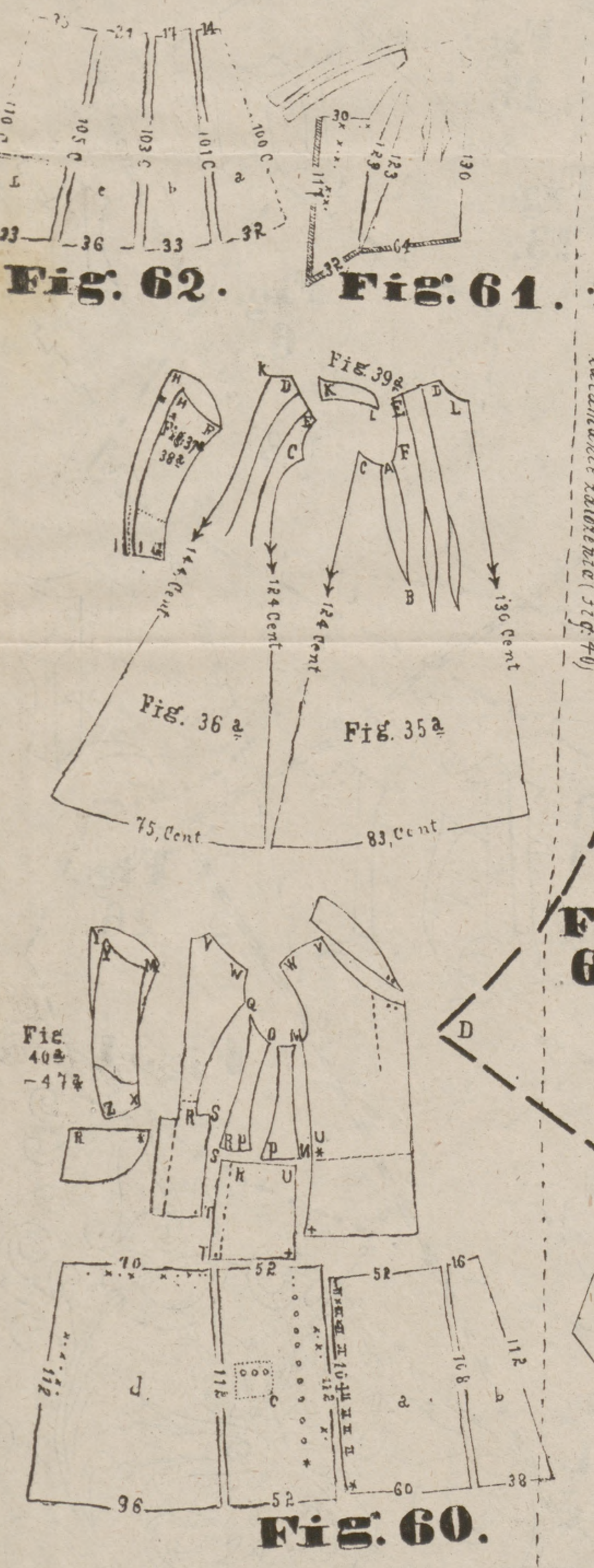
Fig. 61. Zmniejszony rysunek i miary vêtement, do którego za podstawę służyć może forma do

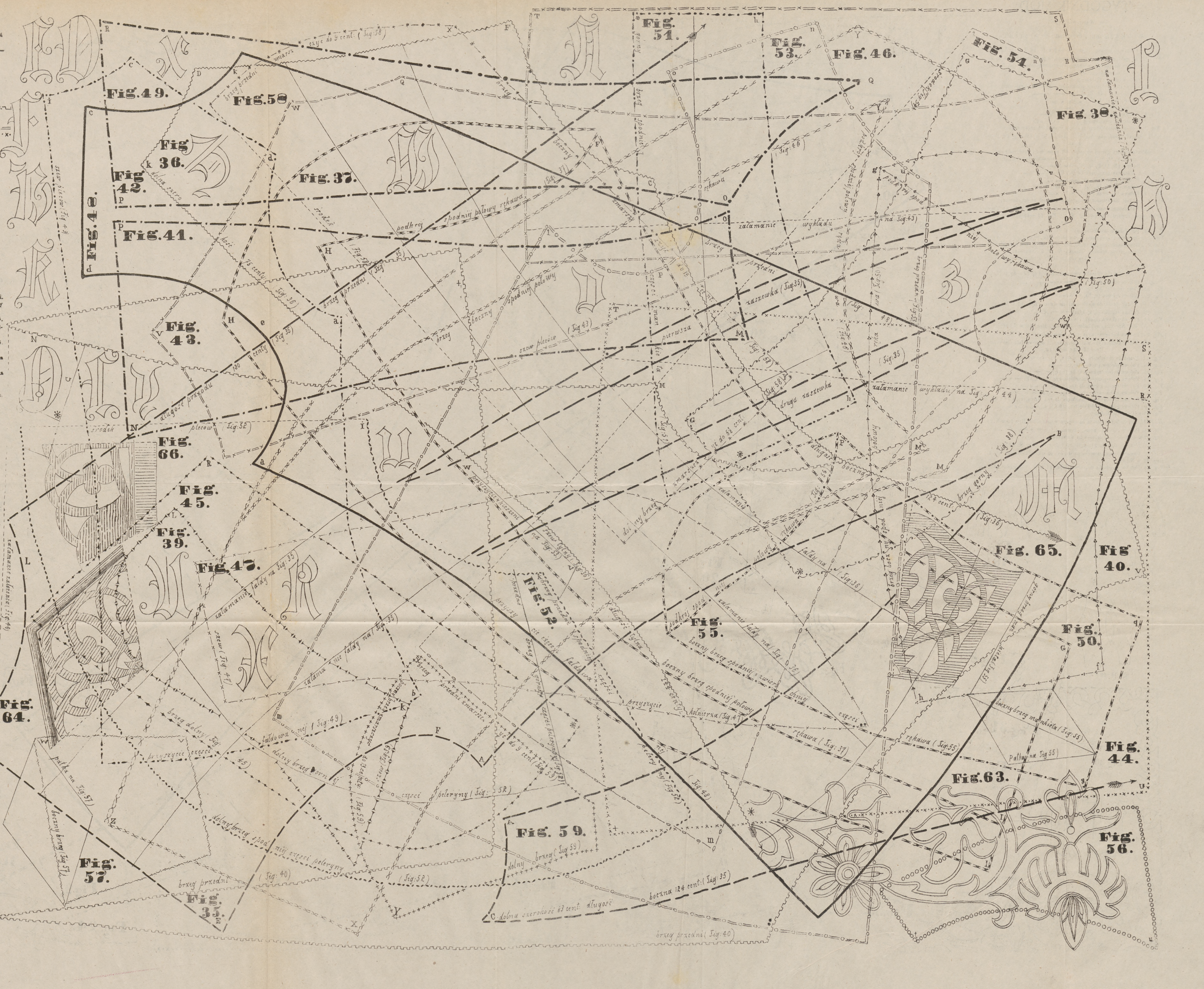
N. XVI. Spódnica do sukni bez trenu. Opis przy ryc. 2 w N. 35.

Fig. 62. Zmniejszony rysunek brytów i miary spódnicy. *a* Połowa bryta przedniego, *b* klin do przodu, *c*, klin drugi *d* połowa bryta tylnego.

Desenie do ryc. 18—19 w N. 36 i do ryc. 29 w N. 35 Tygodnika Mód.

Fig. 63. Deseń do haftu ... do ryc. 18—19 w N. 36.
Fig. 64. Trzecia część dna do koszyczka wyrzynanego z drzewa, ryc. 29 w N. 35 Tygodnika Mód.
Fig. 65. Połowa ... do ryc. 29 w N. 35.
Fig. 66. Część ... do koszyczka ryc. 29.





TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1877 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 35 i 36.

N. I. Kaftanik negliżowy. Ryc. 35—36 w N. 36 Tygodnika Mód.

Fig. 1. Pod spód zachodząca część przodu, z punkcikami oznaczonem wpuszczeniem do skośnie zapinanej zwierzchniej części, (A, B, E, F, M, *) jedno załamanie formy.

Fig. 2. Boczek (A, B, C, D).

Fig. 3. Plecy, z oznaczonemi punkcikami patkami krajanemi razem przy jednej połowie (C, D, E, F, L).

Fig. 4. Rękaw (G, H, I, K).

Fig. 5. Mankiet (H, K).

Fig. 6. Połowa kołnierza (L, M).

Fig. 7. Kieszonka z ranwersem (:, *).

Fig. 1-a—7-a. Zmniejszony rysunek wszystkich części kaftanika.

N. II. Stanik z podciętą baskiną. Ryc. 8 42—43 w N. 36 Tygodnika.

Miara połowy górnej objętości 48 w pasie 31 centymetrów.

Fig. 8. Przód (N, O, S, T, U, Z, jedno załamanie formy).

Fig. 9. Boczek (N, O, P, Q, R).

Fig. 9-A. Ranwers przy baskinie (Q, R).

Fig. 10. Plecy (P, Q, S, T, Y).

Fig. 11. Rękaw (U, V, W, X).

Fig. 12. Połowa kołnierza (Y, Z).

Fig. 8-a—12-a. Zmniejszony rysunek wszystkich części stanika.

N. III. Fałdowana baskina do stanika ryc. 25 i 26 w N. 35 Tygodnika Mód. Krój stanika podług *N. IX* Fig. 41—45 na dodatku do N. 32—33.

Fig. 13. Dopełnienie boczka (a, b).

Fig. 14. Dopełnienie pierwszej części pleców (a, b, c, d, ╳ 1 . 1).

Fig. 15. Dopełnienie drugiej części pleców (c, d, ╳ 2 . 2 do ╳ 3 . 3.

Fig. 16. Zmniejszony rysunek stanika N. IX Fig. 41—45 na dodatku z formami do N. 32—33 Tygodnika Mód, z odznaczeniem baskiny fałdowanej.

N. IV. Sukienka dla dziecka rocznego. Ryc. 14, 38—39 w N. 36.

Fig. 17. Połowa przodu (e, f, g, h).

Fig. 18. Plecy (e, f, g, h).

Fig. 19. Połowa rękawa (e, *).

N. V. Długi stanik do spódniczki dla dzieci. Ryc. 13 w N. 36.

Fig. 20. Połowa stanika (i, k, l, m).

Fig. 21. Połowa rękawa (i, m).

N. VI. Szeroki, wykładany kołnierz. Ryc. 30 w N. 35.

Fig. 22. Połowa kołnierza wraz z deseniem haftu.

N. VII. Dwa kołnierzyki z chusteczkami i odpowiednie mankiety. Ryc. 23—26 w N. 36.

Fig. 23. Przód do chusteczki (n, o, q, r, .).

Fig. 24. Połowa pleców (n, o, p).

Fig. 25. Połowa kołnierzyka ryc. 23 (p, q).

Fig. 26. Połowa dolnej części mankieta ryc. 24 (s, t).

Fig. 27. Połowa części górnej do ryc. 24 (s, t).

Fig. 28. Połowa kołnierzyka ryc. 25 (p, r, .).

Fig. 29. Połowa dolnej części mankieta do ryc. 26 (u, v).

Fig. 30. Połowa górnej części do ryc. 26 (u, v).

Fig. 30-a. Deseń do haftu.

N. VIII. Serwetka dziecinna haftowana w tamburku. Ryc. 20 w N. 36.

Fig. 31. Połowa serwetki wraz z deseniem.

Fig. 32-a—32-d. Inne desenie na serwetkę.

Desenie do ryc. 21 w N. 35 i do ryc. 32 w N. 36.

Fig. 33. Czwarta część deseniu na wieko do szkatułki na rękawiczki. Ryc. 32 w N. 36.

Fig. 34. Połowa narożnika do serwety ryc. 21 w N. 35 Tygodnika.

